

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 11—585.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 18 marca 1887 r.

6 marca 1887 r.

Tom XXIII.



PRZYSIĘGA NA SZAROTKĘ.

Obraz W. Gersona.

sołoci, pogrążone w trwodze i przygnębieniu, które się nie da opisać. Domy puste i ogołcone; gdziekolwiek po ulicy przesuwają się milczący przechodnie; ludność w pół odziana obozuje na placach. Ciszy złowrogięj nie przerywa żaden wybuch wesołości ani śmiechu; twarze pobladłe wyrażają znużenie i trwogę. Dzienniki opisały wam już szczegółowo bal maskowy, z którego tłumy fantastycznie przebrane uciekały wśród grzmotów podziemnych i huku walących się nad głowami domów. Straszliwym musiał być widok tych arlekinów, brząkających dzwonkami pustoty wśród jęków ogólnej rozpacz; tanecznic, które uczyły nagle otchłań otwierającą się pod wirującymi ich stopami, i z włosem rozwianym pod wieńcami z kwiatów, z licem śmiertelnie pobladłym pod blanszem i różem—pędziły obląkane wśród spustoszenia i grozy śmierci wiejącej dokoła.

Na placach miejskich, zarząd municypalny kazał wzniesć naprędce obszerne namioty, pod którymi spały kobiety i dzieci, tulące się do kolan matek upadających ze znużenia. Roje ludzi tłoczyły się nad brzegiem morza szukając noclegu, bodaj pod latarnią. Nieszczęśliwy ojciec, którego dziecko dostało nagłego ataku krupu, biegał noc całą jak obląkany niosąc je na rękę i daremnie, od domu do domu, szukając doktora lub aptekarza. Kamienice wszystkie były puste. Kilkakrotnie w ciągu następnego dnia i nocy powtarzające się wstrząśnienia, choć coraz

słabsze, utrzymywały postrach między ludnością. Zarząd kolei w przeciągu dwóch dni zarobił 120,000 franków.

W Mentonie, gdzie trzęsienie ziemi gwałtowniej jeszcze uczuć się dało, widok też jest smutniejszym, a panika większą. Jest to w całym znaczeniu miasto umarłych, z którego uleciało wszelkie życie. Tłumy przerażone snują się w grobowym milczeniu; w nawpół rozwalonych domach, wpośród słonecznej atmosfery powiewają jeszcze girlandy kwieciste i różnokolorowe chorągwie karnawałowe—przemienione w pogrzebowe całuny. Dostęp do wschodniej części miasta wzbroniony; ciszę żalobną przerywa tylko od czasu do czasu głuchy loskot walącego się muru.

Kupcy handlują wiktuałami pod gołym niebem, lecz chleba brak zupełny, bo wszystkie piece piekarskie zostały zburzone. Całe stare miasto zniszczone do szczytu, a nowe dzielnice srogo ucierpiały. Nikt nie potrafi opisać przejmującego wrażenia, jakiego doznaje nowoprzybyły w te miejsca nawiedzone śmiercią i zniszczeniem. Aż do samej Genui położenie rzeczy w niczym nie różni się od wyżej opisanego.

W Bajardo 300 osób, uczestniczących w wczesnym nabożeństwie, przywalonych zostało pod gruzami kościoła. Cichy szept porannej modlitwy przeszedł na ich ustach w konające technienie, a głuchy jęk walącego się dzwonu zabrzmiał im w górze pogrzebową pieśnią.

Andora, Noli, Bressano, Oneglia, Alassio, Albenga, Bianco Castello, Castellaro di Taggia, Albissola i wiele innych miejscowości uległo klęsce. Ludność włościańska obozuje w oliwnych gajach; wsie całkiem są opustoszone, roboty przerwane. W Diano-Marina stacja kolei przedstawia jedno rumowisko. Przybyłem tam nad ranem, a ciemność, nie rozjaśniona jeszcze brzaskiem świtającego dnia, potęgowała okropność położenia. Siedzący na placu miejskim generał włoski, pisał rozporządzenia jakieś przy świetle latarni; nagle wychylają się wśród cieni czarne, milczące postacie, niosące pochodnie zapalone w rękę. Dotykają one ramienia pokotem uspionych na ziemi ludzi; uzbrojone w rydło i motyki idą odkopywać gruzy, pod którymi znajdują się szczątki drogich im istot.

O wschodzie słońca Diano-Marina ukazało się w śnieżystej bieli swoich spustoszonych domów—opasanych zielenią oliwnych gajów, ponad którymi górują w oddali obłoczyste szczyty. Zdało mi się patrzeć na te rozburzone domy, ukazujące nagie swe wnętrza, na popękane sufity, zniszczone freski i walające się tu i owdzie cenne przedmioty, iż jestem w Pompei i widzę dokoła siebie szczątki wygasłej cywilizacji, w ślady której wkroczy inna.

Na tém zakończmy opis wypadków, które echem żalobnym odbiły się w naszych sercach, a kwitnące wybrzeża włosko-francuzkie zasiały mogiłami. Oby dzień ten pamiątką, trzykrotnie już smutną pamiątką zaznaczony w dziejach Nicei, dzień, który gruzami, zamiast pokutnym popiołem, zasypał głowy pijane szalem zapustnym—nie ponowił się więcej!



Ucieczka z domów zrujnowanych przez trzęsienie ziemi, w Mentonie.

GWIAZDA GAŚNIE.

POWIEŚĆ

KLAUDYUSZA MARAISEL.

(Dokończenie).

IX.

30-go wszeźnia o dziesiątej zrana, zadzwoniono do mieszkania państwa Dübnerów przy ulicy Bellefand. Ludka poszła otworzyć. Chłopiec w kaszkiecie ze srebrną blaszką, na której stoi wypisane *Hayman i Spółka*, wręcza jój pozew o zapłacenie trzech tysięcy franków.

Ludka wydaje bolesny okrzyk zdziwienia. Armand nadbiega.

- Co to jest?
- Pozew od Haymana i Spółki!
- Jaki?!
- Kwit wydany Parinowi.
- Jakto?! Parin spieniężył weksel! To być nie może!

Armand nie rozumie całej sprawy. Ona — Ludka rozumie dobrze. Opanowawszy pierwsze wzruszenie, Dübner mówi do posłańca:

— Dobrze, mój przyjacielu, to się załatwi. Zabierz ten pozew.

— Ma pan czas do jutra, do południa — odpowiada chłopiec, kłaniając się i wychodząc za drzwi.

Ludka i Armand patrzą sobie w oczy z wyrazem nieopisanego przerażenia, niezdolni przemówić słowa. Naraz Armand chwyta za czapkę i biegnie do Parina.

— Niema pana — odpowiada służący. — Wyjechał z panią do Nicei przed tygodniem i nie wróci aż pod koniec miesiąca.

Armand, biegnąc ciągle, wraca do domu.

— Achilles wyjechał do Nicei nie uprzedziwszy nas. Od dwóch miesięcy przeszło żona jego nie odpowiedziała na twój list. To musi być zmowa, spisek przeciwko nam!

— Niezawodnie.

— Jak sądzisz, gdybym też spróbował pójść pogadać z Haymanem?

— To się nie zda na nic. Mści się na nas...

— Hayman, jeszcze rozumiem, ależ Parin!... To niepodobne!

— Mój kochany, wszystko podobnym jest na świecie.

— Cóż więc robić?

— Czy ja wiem!

Ludka zeszała do kuchni, gdzie miała zajęcie. Armand jął rozmyślać, czyby nie prosić jój, aby poszła do Haymana i spróbowała zmiękczyć jego serce, ale nie śmiał tego uczynić; przestał ją kochać, ale winien jój był opiekę i szacunek.

Nazajutrz zaprotestowano weksel.

Smutny to był dzień dla obojga. Armand, chwytając się co chwila oburącz za głowę, biegł jak szalony, po stołowym pokoju. Ludka cierpiała również, ale tając boleść w sobie, zamknęła się w swoim pokoju i nie pokazała się wcale.

Grad stęplowanych papierów zaczął się sypać na nich zewsząd. Stróżka przynosiła pozwy; odczytywane ciekawie przez całą służbę domową, z wyrazem kłamanego współczucia i złe tajonego szderstwa wręczała je Ludce. Potem nastąpiło zajęcie ruchomości. Komornik przybył od rana dla spisania inwentarza; przechodził z pokoju do pokoju, oglądając meble i sprzęty domowe, robiąc notatki ołówkiem na papierze... Armand i Ludka nieruchomi, jakby odrętwieni, patrzyli na niego szklami oczyma, w których malowało się przerażenie bez granic.

Potem nastąpiło kilka dni wytchnienia, które prawo w swój wspaniałomyślności udziela skazanemu. Nieszczęśliwy ludzi się jeszcze nadzieją, że los ulituje się nad nim bardziej niż ludzie — że wygra wielki los na loteryi, że fortuna spadnie mu z nieba, że stryjaszek nieznanym i o którym nigdy nie słyszał umrze w Australii i zapisze mu cały swój majątek...

Armand przez ten czas raz jeszcze napisał do matki, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ludka poszła rzucić się do nóg ojcu, lecz stary Cointel ani słyszeć chciał o udzieleniu jakiegobądź pomocy.

Uplynał ostatni termin. Białe plakaty przyklepione są przy drzwiach wchodowych, ludzie zatrzymują się aby czytać; zbiegowisko ciekawych powiększa się z każdą chwilą.

Taksator wraz z pomocnikiem zajmują swoje miejsca. Stół jadalny przeniesionym zostaje do salonu; młotek podniesiony... licytacja się zaczyna.

Mieszkanko tak schludne niegdyś i eleganckie napelnia się obcymi ludźmi; kupcy, antykwarze, żydzi, wyrobnicy w wytartych bluzach cisną się do wnętrza, potrącając wzajemnie. W głębi pokoju Armand i Ludka, bladzi, znekani, z załamanymi rękami stoją, patrząc w milczeniu na tę profanację domowego ich przybytku.

Sztućce, łyżki, kandelabry, zegar ścienny, który tyle godzin szczęścia wydzwonił niegdyś dla nich — wszystko znika jedno po drugim, a oni łzawym okiem towarzyszą każdemu przedmiotowi aż do drzwi. Potem przychodzi kolej na meble.

— Komoda w stylu odrodzenia! — woła donośnym głosem komornik. — Dwieście franków! Trzysta! Czteryście!...

Sekretarzyk z epoki Ludwika XVI, szyfonierka, stół rokoko, krzesła, kanapy, wszystko znika kolejno, poniesione na grzbiecie tragarzy. Godzina już spóźniona, dzień ma się ku schyłkowi, kupcy znikają jeden po drugim, i mieszkanie zostaje *пустém*.

Armand i Ludka stoją naprzeciw siebie, z twarzą zbolalą i czołem pomarszczonem. Nie zamienili dotąd ani jednego słowa. Z ogólnej powodzi nie pozostało już im *nic* dookoła. Ulubione przedmioty, pamiątki chwil szczęśliwych, znikły bezpowrotnie, tak jak z serc ich dwojga uleciała miłość, która raj stworzyła im niegdyś na ziemi!

Przed oczyma ich stoją puste i przerażające nagością swoją ściany, które nic im już z przeszłości nie przypominają. Wszystko skończone!... Szczęście, miłość, dostatek, zaufanie wzajemne, słodkie wspomnienia chwil minionych — wszystko rozpierzło się jak rój skrzydlatych motyli o tęczowych barwach.

Oczy ich nie spotkały się ani razu — dłonie nie wyciągnęły się do wzajemnego uścisku. Każde dla siebie chowa boleść swoją — dławi ją i tłumi w sercu jak umie i może; obwinia samego siebie — miota się w bezsilnej rozpacz. Rozdział serc ich jest zupełnym. W boleści nie mają dla siebie słowa pociechy.

Wieczór zapada powoli. Posępne cienie spuszcza się po nagich ścianach aż ku ziemi, ścieląc się ukośnie na posadzce. Drzwi zostały otwarte; nikt nie ruszył się z miejsca, aby je zamknąć za ostatnim odchodzącym. Naraz posłaniec kolejowy wchodzi z paczką, stawia ją w pośrodku pokoju, z ciekawością rozgląda się do koła i objaśniając: „z kolei”, podaje książkę do poświadczenia odbioru.

Armand i Ludka z zdziwieniem spoglądają po sobie; chłopiec oddala się, nie dostawszy nic „na piwo”.

Rozpakowują jedną paczkę, zdejmując zwierchnie płótno: wielka faska ukazuje się pod spodem.

— Masło od matki Bastou! — wołają, pochylając się nad wielką faską jednocześnie. Otwierają paczkę drugą i widzą prześliczne owoce od księdza proboszcza, a między nimi sterzący list z zaproszeniem w tych słowach:

„Chcecie jeść prosto z drzewa, to przyjeździe do matki Bastou, która dla was ma pokoik zawsze gotowy. I ja was zapraszam takim sercem jak matka Bastou, chociaż mam w tém także swój interes; pan Armand zna się na starych książkach a właśnie znalazłem pod belką kościoła paczkę mszałów i brewiarzy, możeby je dało się dobrze sprzedać. Potrzeba mi pieniędzy na dokończenie wieżyczki przy dzwonnicy. A i pani Ludka jest mi potrzebna; ona tak ładnie maluje, może więc zrobić ofiarę Bogu ze swego talentu i odnowić ołtarz Najświętszej Panny; pozłotnik chciał bardzo drogo i wyglądał mi jakoś na ateusza. Niedowiarków do kościoła nie wpuszczam. Niewiele na tém zarobić lecz zaskarbić sobie możecie łaskę Bożką, która przyda się wam zawsze, chociaż jesteście tak szczęśliwi. Ale szczęście spada nagle i rozbija się, jak owoc dojrzały strącony z drzewa łada wietrzykiem; odnajdzie go tylko ten, kto wierzy i kocha. Błogosławi was, moi państwo, i oczekuje *Stary pleban*.”

Armand i Ludka nie mówią nic do siebie, ani słowa, ale ręce ich w coraz gorętszym spleciają się uścisku. Nagie ściany zdają się kreślić w oczach ich fantastyczne jakieś arabeski, potem nikną gdzieś w mglistej oddali, ustępując miejsca drzewom, kwiatom barwnym i łąkom sznaragdowym, które szumią niby morze falującej zieleni, szpalerom cienistym pod którymi przechadzają się we dwoje—dłoń w dłoni, serce przy sercu, z głową wspartą na ukochanym ramieniu.

Złudzenie znika; znikają kwiaty, łąki, szpalery ale ręce ich splecione trzymają się mocno, a głowy pochylają się coraz bliżej ku sobie. W ciszy wieczornej usta ich nareszcie spotykają się z sobą i słychać pocałunek miłości i przebaczenia.

— Ach! byliśmy szaleni, dobrowolnie rozdzielaliśmy sobie i tak już skrwawione serca. Moglibyśmy być tacy szczęśliwi, nawet wśród nieszczęścia.

— Kocham cię, najdroższy!

— Kocham cię, mój aniele!

Tego samego wieczora Armand i Ludka wyjeżdżają do Tourville. Mogą jechać bez trwogi; nie zostawiają nic za sobą, nawet długów, bo wierzyciele sami uregulowali swoje rachunki, oszczędzając im tego kłopotu.

Jadą do matki Baston i do księdza plebana, gdzie oczekiwać będą na dalszy przebieg wypadków, dopóki rodziny ich nie dadzą się nakłonić do zgody, lub nie trafi im się poważne jakie zajęcia. Nie pilno im z tём, bo wiedzą, że tam nie będą mieli czasu nudzić się... czeka na nich robota, za którą Bóg zapłacił im z góry: gwiazda ich miłości nie zgasła!



Wiadomości i objawy pokojowe. — „Kreuzzeitung” i giełda leją zimną wodę na optymistów. — Intencje a rzeczywistość. — Wymiana myśli w sprawie bułgarskiej. — Co Lesseps robił w Berlinie? — Repräsentalia niemieckie w Alzacji i Lotaryngii. — Położenie w Bułgarii. — Cankow w nowej skórze. — Koniec przesilenia ministeryalnego włoskiego. — Poprawa położenia włosów w Massawie.

Z Wiednia donoszą, że zastępca nieobecnego chwilowo ambasadora rosyjskiego, hr. Łobanowa Rostowskiego, ks. Kantakuzen zapewnia o zupełnym porozumieniu pokojowym pomiędzy Rosyją i Austryją; „Tagblatt” berliński twierdzi, że Lesseps w powrocie do Paryża powiedział do konsula francuzkiego w Kolonii, iż żadna chmurka nie zasępiea w tój chwili widnokregu stosunków niemiecko-francuzkich; cesarz Wilhelm na obiedzie dworskim wniósł toast na cześć Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra III; ks. Bismark był z wizytą w ambasadzie rosyjskiej; Lessepsa przyjmowano w Berlinie jakby króla a Bismark rewizytował go w ambasadzie francuzkiej—oto szereg wiadomości i faktów, które optymiści polityczni wyliczają na dowód, że położenie poprawiło się radykalnie i że obawa wojny minęła szczęśliwie.

W porównaniu z dniem wczorajszym widnokrag polityczny rozpogodził się rzeczywiście, zachodzi tylko pytanie na jak długo? Głosem Kassandry w tój mierze są słowa dobrze zawsze poinformowanej berlińskiej „Gazety Krzyżowej”, która rozbiegając głosy prasy rosyjskiej w sprawie bułgarskiej twierdzi, że jakkolwiek położenie przybrało fizyonomią mniej ostrą, nie należy przecież oddawać się przedwczesnemu optymizmowi; a silniejsze jeszcze ostrzeżenie stanowi postawa giełdy, która po kilkodniowej wyższe, znów obniżyła kurs wartości, mianowicie rosyjskich. Pokojowe deklaracje zawsze muszą wywrzeć wpływ na świat spragniony prawdziwego pokoju, ale wpływ ten nie może być trwały, jeśli poza oświadczeniami niema nic, coby za poważną rękojmię tego pokoju posłużyć mogło. Tymczasem we wzajemnych stosunkach mocarstw nic się nie zmieniło, nie zaszło nic, coby optymizm chwilowy usprawiedliwić mogło, a przeciwnie zachodzi mnóstwo okoliczności wątpliwych, niejasnych lub sprzecznych.

Tak np. w najdrażliwszej rzeczywiście sprawie bułgarskiej, Niemcy, Austrya, Włochy i Anglia objawiły życzenie, aby interes ten załatwić na drodze pokojowej; do życzenia tego przystąpiły następnie Rosyja i Francya; Porta odniosła się również w tój mierze do mocarstw. Powstała tedy wymiana zdań między gabinetami, unisono zgadzającemi się na środki pokojowe; bieda w tём, że wybór tych środków jest trudny. Najracjonalniejszego napozór z pomiędzy nich: konferencyi międzynarodowej, unikają dyplomaci jak ognia, wiedząc z doświadczenia, że właśnie na takich konferencyach antagonizmy międzynarodowe, jeśli poprzednio nie zostały zaspokojone lub złamane, występują zwykle w całej sile. Nie wiadomo zatem ostatecznie, czy i jaki rezultat wydadzą same dobre chęci, któremi, jeśli gdzie, to w polityce piekło brukują.

Niby mniejszej wagi, a jednak niepokojącym jest pytanie: po co Lesseps jeździł do Berlina?... Jeżeli z jednej strony trudno sobie było wytłumaczyć, co mogło spowodować wysłanie „wielkiego inżyniera” w misyi politycznej, to z drugiej właśnie zapewnienia jego, iż misyi takiej nie otrzymał, wzbudziły tём większe podejrzenie, iż w chwili takiej jak obecna, nie pojechał do Berlina bez kozery. Podejrzenia te wzmocniło jeszcze niezmiernie uprzejme i odznaczające przyjęcie, jakiego doznał w niemieckiej stolicy. Jednym słowem, staremu twórcy kanałów morskich przypisano rolę gołąbka z różczką oliwną, ale niestety, różczka ta w stosunkach niemiecko-francuzkich mogłaby się przyjąć i okryć kwiatem pokojowym tylko na gruncie alzacko-lotaryńskim, a tutaj nie widać nawet cienia jakichkolwiek ustępstw ze strony niemieckiej; owszem, represya za nieprzychylne widokom rządu wybory do parlamentu występuje w całej szorstkości i sile, poczynając od rozwiązania wszelkich stowarzyszeń, posądzonych o patryotyzm francuzki albo choćby o zamałą miłość dla Niemców.

Tak więc i ten drugi, zachodni punkt sytuacji europejskiej, nie chce się wyklarować i pokojowym światłem stanowczo zajaśnieć, a pesymizm giełdowy jest poniekąd wytłumaczony.

Tymczasem faktycznie w Bułgarii, przynajmniej chwilowo, panuje spokój. Jak dalece jest on trwałym, to nowa zagadka; jedni utrzymują, że energia regencyi zaimponowała rokoszanom, i że teraz spisek nieprędko znów głowę podniesie; drudzy twierdzą, że rozstrzelanie spiskowych (ostatecznie ośmiu) rozdrażniło tylko jeszcze malkontentów, tak, że członkowie regencyi niepewni są życia ani na chwilę, mimo, że otaczają się w Sofii wszelkimi środkami ostrożności. Jak jest rzeczywiście, trudno osądzić, bo jedne i drugie źródła zdają się być zarówno poważne. Jedna rzecz tylko się wyjaśniła, a mianowicie, że mylnem było doniesienie, jakoby reprezentanci mocarstw mieli się wstawiać do regencyi za rokoszanami; przynajmniej hr. Zichy, który się o to papytywał na delegacyach wspólnych, otrzymał formalne zaprzeczenie ze strony urzędowej.

Najciekawszą jednak w interesach bułgarskich jest najnowsza ewolucya Cankowa; on, zdeklarowany jak wiadomo przyjaciel i zwolennik Rosyji, w memoryale przesłanym Porcie oświadcza, iż na chorobę bułgarską widzi jedno tylko lekarstwo, a tём jest: okupacya—turecka!... Istna wieża Babel, doprawdy!

Przesilenie ministeryalne we Włoszech skończyło się nareszcie pozostaniem dawnego gabinetu na swoim miejscu. Król, nie mogąc sobie dać inaczey rady, nie chciał udzielić dymisyi Depretisowi, który widząc rzeczywiste trudności i niebezpieczeństwo dłuższej zwłoki, uszanował wolę monarszą. Będzie on miał jednak niejednego twardego orzech do zgryzienia; na pierwszym zaraz posiedzeniu parlamentu, Crispi postawił wniosek nieufności dla rządu, który tylko 20 głosami został odrzucony. Z taką większością rządzić niepodobna. Izba rozwiązana została.



609) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jakim złudzeniem ulega wzrok, patrzącego na gwiazdy?

Kiedy Aleksander Humboldt w 1779 r. wchodził na szczyt Teneryfy i znajdował się na 3,000 metrów nad poziomem morza, zauważył nad ranem, od strony

wschodu, jakby drobne racje strzelające w powietrze. Punkta świetlane zdawały się poruszać w kierunku prostopadłym a później poziomym. „Towarzysze nasi i przewodnicy, mówi Humboldt, nie mogli wyjść ze zdziwienia; przekonaliśmy się, że owe punkta świetlane były obrazami gwiazd. Obrazy te chwilami nieruchome, potem zdawały się podnosić prostopadle, zbacać i powracać znowu na swe miejsce.”

Zjawisko zaobserwowane przez Humbolta zaciekało uczonych; starano się zbadać przyczynę tego drżenia gwiazd, będącego widocznie skutkiem załamania się promieni świetlnych.

Promienie słoneczne wychodzące z gwiazd nim doszły do oka Humbolta, musiały przechodzić warstwy atmosfery rozmaitej gęstości. Zjawisko więc dalo by się objaśnić grą różnic temperatury; mówi za tym następujące spostrzeżenie:

Kiedy profesor Parport płynął z rodziną statkiem po jeziorze Starlus, chłopczyk jego zawołał: „Patrzcie! jak ta gwiazda tańczy.” Rzeczywiście gwiazda Wega poruszała się szybko.

Parport zauważył wówczas, że pomiędzy statkiem i gwiazdą była wysepka, z której podnosiły się gęste tumany. Gdy wypłynęli na drugą stronę wyspy, ruchy gwiazdy ustaly, powtarzały się zaś, gdy statek wracał na pierwsze miejsce. Parport utrzymuje, że dla pojawienia się zjawiska potrzebna jest obecność w powietrzu znacznej ilości pary wodnej. Przypuszczenie to jest błędne; można bowiem sztucznie wywołać to samo: dość patrzeć na przedmiot daleki lub na gwiazdę w ten sposób, by promienie światła przed dojdaniem do naszego oka zmuszone były przechodzić warstwę ciepłego powietrza unoszącego się nad lampą, zobaczymy wówczas, że przedmiot lub gwiazda wykonywają także same ruchy.

Przyczyną tego jest ciepłe powietrze, łączące się z otaczającymi je zimniejszymi warstwami. Astronomowie wiedzą oddawna, że jeżeli temperatura sali obserwacyjnej różni się bardzo od temperatury zewnętrznej, w chwili rozpoczęcia obserwacji, to gwiazda wykonywa przed ich oczyma oscylacje, ustające z chwilą przywrócenia równowagi temperatury. W innych wypadkach drżenie to gwiazd ma przyczynę w samym oku obserwatora; profesor Schweizer zbadał uważnie to złudzenie.

Jeżeli przez kilka minut patrzeć będziemy uważnie na gwiazdę, to niebawem zdaje się ona ożywiać ruchem z dołu do góry, to na bok, to z góry na dół. Ktokolwiek widział to zjawisko, porównywa je zwykle z bezładnymi ruchami latarni na szczycie maszty, gdy statek rozkołyszą balwany. Oscylacjom tych nie należy brać za jedno z iskrzeniem się gwiazd, nie zmieniającym bynajmniej ich położenia.

610) PYTANIE: Jakim zmianom ulega fizjonomia chorego dziecka?

Ze skarbeca prawd. Próżność tysiąc razy więcej kosztuje niż wszystkie razem wzięte złe skłonności i rujnujące zachęcenia. Przyjemność zaspokojona nie jest rzeczą najkosztowniejszą; to próżność, komedia dla oczu ludzkich prowadzi na łożo nędzy i poniżenia.

ZADANIE.

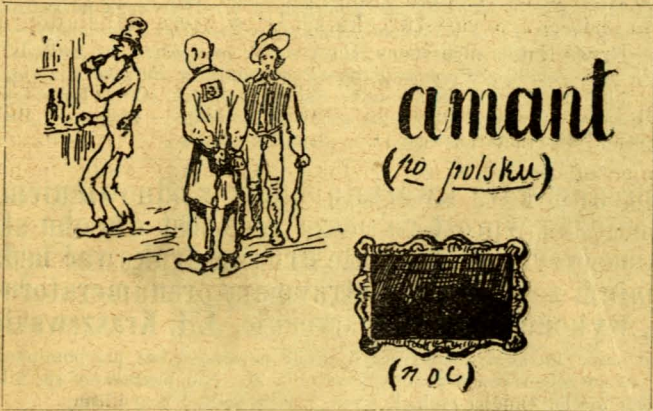
Z sylab i głosek: a, a, bra, bra, e, el, gent, graf, gu, hom, jem, ka, ka ko, kra, lin, ma, mi, ma, móm, ni, no, nu, praż, rek, ski, ski, sni, ter, tor, tram, wa—ułożyć 11 wyrazów tak, ażeby czytając z góry na dół w ten sposób: początkowa litera pierwszego wyrazu—końcowa drugiego; początkowa trzeciego—końcowa czwartego i t. d. aż do końca; potem znowu z góry: końcowa pierwszego wyrazu—początkowa drugiego; końcowa trzeciego—początkowa czwartego i t. d. były trzy nazwiska najzawziętszych słowiano a w szczególności polakożerców.

Znaczenie wyrazów:

- 1) 16, 25, 15, 8, 20, 23, 20
- 2) 10, 25, 15, 14, 8, 9, 13, 11, 21, 20
- 3) 11, 23, 20, 19, 27
- 4) 12, 25, 15, 8, 13, 15, 6, 3, 8
- 5) 15, 19, 3, 23, 12
- 6) 21, 25, 15, 12, 3, 25
- 7) 21, 15, 7, 20, 23, 21, 15
- 8) 8, 9, 20, 9, 19, 25, 15, 8
- 9) 15, 16, 25, 15, 5, 15, 8
- 10) 18, 8, 15, 23, 27, 3, 7
- 11) 21, 9, 25, 3, 21, 12, 9, 25

Duchowni narodu wschodniej Indyi.
Astronom polak zmarły w Paryżu.
To czego brakuje w Afryce.
Najtańsza komunikacja osobowa w wiel-
pośredniczący w handlu. [kich miastach.
Otwór wulkaniczny.
Autor „Sejnu czteroletniego”.
Autor monografii.
Ojciec Izaaka.
Król włoski.
Nieodzownie potrzebny w każdej redakcyi.

REBUS.



Rebus z N-ru 10. Burza szkody i pożytek przynosi.
Szarada z N-ru 6. Karety.

Lord Wilton wszedłszy raz do bardzo skromnego gabinetu Darwina, powiedział:
— Jak widzę, przykładasz pan pożytek nad przyjemność.
— Bo nie znam nic przyjemniejszego nad to co pożyteczne—odpowi-
wiedział uczony.

— Mój drogi, potrzebuję sto franków!
— Bagatela, tak łatwo możesz je zarobić.
— Ach, powiedz jak?...
— Wiesz, że dawniej za pasport z Francji do Anglii płaciło się dzie-
sięć franków, dziś zaś dostaniesz go bezpłatnie. Przejedź się więc dziesięć
razy a owe sto franków będziesz miał w kieszeni.

Ogłoszenie pewnego dentysty:

„Wynajmuję zęby na balo, koncerta, do rozmowy, ziewania i do je-
dzenia!”

Pewien młokos, wyczekujący niecierpliwie zarostu, pyta się kuzynki:

— Powiedz kuzyneczko, jak znajdujesz moją brodę?
— Nie znajduję jej wcale — odpowiada złośliwa.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Aby jarzyny gotowane nie straciły swego naturalnego smaku. Nie trzeba jarzyn moczyć długo, ponieważ woda pozbawia ich smaku; plukać je należy przed samem gotowaniem i to tylko przez chwilę; potem dobrze otrząśnięte przynieść do kosza drucianego, wyłożonego zmoczonym płótnem. Zbierać jarzyny przed samem ich gotowaniem, żeby były zupełnie świeże, z wyjątkiem karczochów, których smak zyskuje na tém, jeżeli w piwnicy kilka dni przeleżą.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Położenie na rynkach zbożowych nie poprawiło się wcale; usposobienie w ogóle było słabe, a najlepiej jeszcze prezentowały się te rynki, które zeszloty-
godniowo ceny utrzymać zdołały.

Wszelstrosone pokojowe oświadczenia wpłynęły w początkach ubiegłego tygodnia bardzo dobrze na usposobienie rynków pieniężnych; kurs rubla na gieł-
dzie berlińskiej poskoczył odrazu o dwie marki (w piątek), gdyż z 179.40—179.20 na 181.40—181.60, dochodząc nawet do 182; atoli już po paru dniach nastąpił, lubo powolny, odwrót, i ostatnie (wtorkowe) notowania przynoszą znów kurs 181.50.

Na rynku welnianym warszawskim panuje ospałość, nikt o welnę nie spy-
ta, tylko nabywcy austriaccy o grubą, na płaszcze żołnierskie. Zresztą bliskość jarmarku i nowych dowozów znacznych źle wpływa na ceny. W Berlinie zajęcie welną słabe; mocniejsze w Belgii i Francji. W Londynie ceny nieco wyższe od uzyskanych na aukcyi styczniowej.

Warszawa, d. 16 marca 1887 r. 5 7/10 Listy Zast. (za rs. 100) 101 15.—
Listy Zast. ser. II lit. A. 101.— Listy Zast. ser. III lit. A. 100.90.— Listy
Zast. M. W. I ser. 99.50.— Listy Zast. M. W. II ser. 98.90.— Listy Zast. M. W.
III ser. 98.45.— Listy likwidacyjne Król. Pol. 94. 80—Marka niem. kop 55 1/4;
złoty reński k. 88 1/2; frank k. 45; półimperyal rs. 9; wartość rubla w złocie k. 55.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 10.— Żyto rs. 5 k. 10.—
Jęczmień rs. 4 k. 60.— Owies rs. 2 k. 90.— Groch rs. 5 k. 50.—
— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k 30.—Żyto k. 85—
Jęczmień k. 86.—Owies k. 85.—Groch k. 90—Gryka k. 83.



Zbieranie marek. (P. S. Z. w Suwałkach) Ajzyk Model, który wylawia
stare marki po dworach i plebaniach, nie robi tego z amatorstwa; handel
markami przynosi więcej korzyści niż towarem łokciowym, trzeba się tylko
znać na tém, jak się zna Ajzyk. W stolicach środkowej Europy marki mają
swoich bankierów i swoje giełdy, szczególnie w Paryżu handel niemi nieczem się
nie różni od handlu papierami publicznymi — bogacie się na nim i bankrutują,
grają na zwwyżkę i obniżkę, z natychmiastową dostawą lub na termin. Giełd
marek pocztowych Paryż posiada dwie: jedną na polach Elizejskich, drugą w środku
miasta. Kupuje i sprzedaje, czyli gra na tych giełdach świat modny, amatorzy
i szulerzy, którzy wszędzie poszukują zysku. Marki czasami stają się powodem
zrujnowania całego majątku a nawet mają już w swych dziejach kilku samobój-
ców. Wartość ich zwiększa się lub obniża w miarę zapotrzebowań; marki np.
toskańskie z przed 1860 r. sprzedają się po 400 fr., marki francuzkie z przed 1849
r. 25 fr., wyspy Maurycyego z 1847 r. 2.000 fr. Bankierów robiących operacje tyl-
ko markami Paryż posiada kilkuset, a są między nimi ludzie bardzo bogaci. Naj-
większą kolekcją marek pocztowych ma prezydent rzeczypospolitej fran. p. Grévy,
minister poczty p. Granet i p. Freycinet. Królami „markistów” są p. Filip Ferrari-
Varenes, posiadający milion marek, których klasyfikowaniem i powiększaniem
zajmuje się dwóch sekretarzy; i Rothschild paryzki, którego kolekcya zawiera sto
trzydziestu wielkich albumów, bogato oprawnych. Ajzyk suwalski nie zasłynie
jako bogaty amator marek ale może z ich pomocą wrosnąć na bankiera.
Z marniejszych okrucich powstało u nas tyłu Rotszyldów.

Post-scriptum.

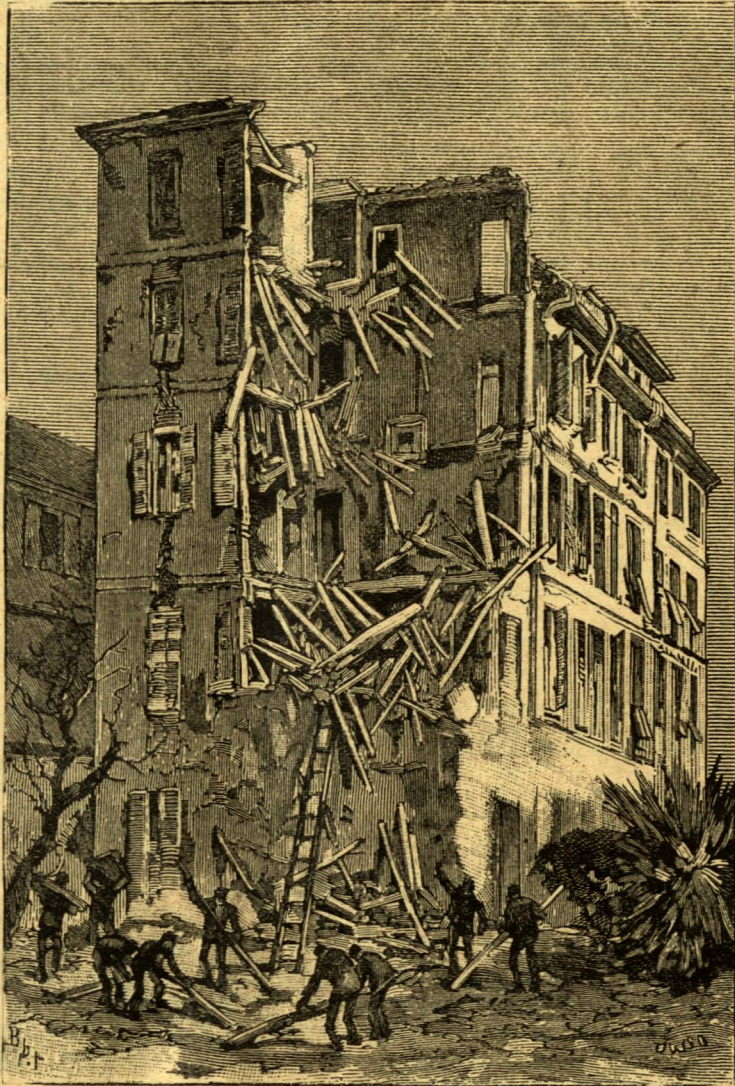
Czytelnictwo na wsi. (P. B. K. w Żelechowie.) W nadzwyczaj smutnych
barwach przedstawił sz. pan swoje okolicę: śmiechy, hulanki męzkie, pu-
stota niewiedza, tańce i... likieru na kredyt! Chyba tak źle nie jest, bo za jakież
grzechy żelechowska ziemia oddana by została w arendę szatanowi, który kielisz-
kiem i kością wiedzie ludzi do zguby. Wierzmy więc w czytelnictwo oplakane
po dworach wiejskich: w jednych nie czytają a w innych czytają pisma zatru-
wające młode umysły. Braćsiek, który siostry swoje namawia do czytania wszyst-
kiego bez wyboru — jest ich wrogiem. Czytanie skandalów prowadzi w końcu
do oswojenia się ze złem, z niecenotą, do starcia wstydu z czoła dziewczęcego.—
P. J. Cętkowska w W. Przerwa pochodzi nie z naszej winy, chętniebyśmy
w tę sygnaturkę dzwonił; trzeba odpowiadać na pytania małej wagi, bo dla
tego co zapytuje kwestya podrzędna może być poważna; nawet śmieśzności
nieraz uwzględnić trzeba—zawsze tam jakiś morał przylepi się do pytającego
i do czytelników. Pytania naukowe są działem b. pożytecznym i interesującym;
dobieramy treść zajmującą wszystkich. Zauważyliśmy markę przyszłą (cecha
wzorowego porządku i rozwagi) na odpowiedź, którą zawsze chętnie służymy.—

Sz. ks. K. Folkman w R. G. Nie byłoby złych dzieci, gdyby wszyscy rodzice do tych czcigodnych rad zastosować się chcieli; niestety, więcej oni dbają o dobrą wymowę guwernera lub guwernantki, niż o ich religijność i dobre obyczaje. Tych gorszytel skrytych jest rzeczywiście więcej niż jawnych, na podobieństwo owego „dziadunia z Saskiego ogrodu”, który w ogródku przy wodach mineralnych obiera sobie stanowisko wiosenne. Iluż-to wychowawców, którym rodzice dziecko swe powierzyli, lekceważy modlitwę wieczorną i poranną, iluż z nich umie pacierz na pamięć? Jedni wprost dzieci odwodzą od modlitwy, inni złośliwym słówkiem lub uśmiechem zrażają młodzieńca, który dla dziecinnej ambicji gotów ciężki grzech spełnić, aby tylko robić tak jak robią starsi. Nie tylko w ogrodach, w wagonach kolei, w teatrach szukajmy gorszytel; tropmy ich najpierw pod dachem własnym, przy ognisku rodzinnym.

Przewodnik.

P. T. D. w F. Honorarium wysłane. O wartości proponowanych artykułów i fotografii nie możemy nie powiedzieć przed zobaczeniem ich i odczytaniem. Listy rekomendowane dochodzą zawsze. — **P. St. G. w Pilicy.** Śledź jak każda inna ryba może być przytułkiem dla pasożytów zaraźliwych, ale nie można go uważać za gniazdo solitera. Niema chyba jednego człowieka na świecie, któryby nie jadł w swoim życiu śledzia, a czyż wszyscy na solitera chorują? — **P. A. Woj. w M.** Po program trzeba się udać do zarządu Instytutu rolniczego w Nowej Aleksandryi (Puławach). Katalogów wyłącznie naukowych żadna księgarnia nie wydaje; w każdym są pomieszczone powieści i t. p. z dziełami specjalnymi i t. p. — **P. E. H. w K.** Wierszy tłumaczonych nie drukujemy—*twoja... to ja, czyż to rym?* Pisze się: utwory *były* wydrukowane a nie *byli* i t. p. Możemy tylko pochwalić dobre chęci i zachęcić do pracy. — **P. W. Puchaczewska w Ł.** Szkoła ogrodniczo-leśnicza w Piotrowicach istnieje a po program trzeba się udać wprost do zarządu. — **P. Marya K.** Wiersze płynne, myśl znaczna, uczucia dużo ale jeszcze nie do druku. — **P. G. D. R.** Dalszych tomów dzieł Wilezyńskiego drukować teraz nie będziemy, dopiero później, kiedy się dwie części już wydane rozsprzedają. Przewyżkę zapisałyśmy na rachunek sz. pana, do jego dyspozycji. — **P. Apolinara Reuth w Starym Łomżyńcu.** Szemat ze „Zjawiskami w świecie roślinnym” oddaliśmy red. „Wszelchwiat”, która uprzejmie dziękuje. — **„Łada” w Płocku.** Rysunki oryginalne i drzeworyty są rzeczą b. kosztowną. Radzimy porozumieć się z wydawcą Szusterelem, może by on klisze sprzedał, co znacznie taniej wyniesie niż rysunki i drzeworyty oryginalne. Co do druku możemy pośredniczyć, ale cenę drukarnia dopiero wówczas naznaczy, kiedy będzie miała całe dzieło przed oczyma. Najchętniej pomożemy.

P. Wł. Jaworowicz, chemik w D. Za wiadomości uprzejmie dziękujemy, chociaż są one b. smutne. Oburzenie nasze, na takich niecnym ludzi jak Maksymilian Lyskowski w Poznańskim, jest równie wielkie ale kara im wymierzona tylko naszym piórem byłaby zamała. Społeczeństwo pogardzi ich ukarce. — **P. J. Z. w Łowiczu.** „Kronika Rodzinna” drukuje prace literackie i społeczne; kierunek moralny i religijny. Rocznie rs. 5. — **P. Wacław Bajer** założył księgarnię w Płocku.



Dom najmniej zrujnowany przez trzęsienie ziemi, w Bajardo.

mają się formy poważnej, sumiennej. Innych pism nie wskażemy bo ich nie znamy, a choćbyśmy nawet i znali, to środków do podsyceania imaginacji zbrodni nikomu nie podsuwamy. Od nas nie doczekasz się pan sprawozdań z procesów kryminalnych, chociaż grozisz wykreśleniem się z listy prenumeratorów Biesiady L.

Treść numeru 585 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.)—Przysięga na szarotkę.—Pani Marcinowa, epizod z dziejów sanitarno-warszawskich, przez S. Kondratowicza (dokończenie).—Pod balkonem.—Odezwy.—Raptularz tygodniowy.—Trzęsienie ziemi.—Gwiazda gaśnie, powieść Kludyusza Maraisel (dokończenie).—Listy polityczne.—Jakim złudzeniem ulega wzrok patrzącego na gwiazdy?—Ze skarba prawd.—Humorystyka.—Zadanie.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—*Rysunki:* Przysięga na szarotkę. (Obraz W. Gersona).—Po pierwszym wstrząśnięciu ziemi w Nizzie.—Czeka na jałmużnę. (Obraz Thumanna).—Czeka na okłask. (Obraz Spinodona).—Ucieczka z domów zrujnowanych przez trzęsienie ziemi w Mentonie.—Dom najmniej zrujnowany przez trzęsienie ziemi w Bajardo.—Rebus.—„Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 11.

Przypominamy sz. prenumeratorom, którzy wnoszą prenumeratę kwartalnie, aby z odnowieniem jej na kwartał drugi o ile możności pospieżyli. Przesyłka pieniężna wprost na nasze ręce jest dla obu stron najdogodniejszą; pomaga ona do dokładnej i bezwzględnej ekspedycji. W kwartale drugim drukować będziemy prace zapowiedziane w prospekcie noworocznym. Premium zesłoroczne otrzymają prenumeratorowie razem z premium tegorocznym t. j. z portretem olejnym, wykończonym artystycznie, **J. I. Kraszewskiego**.

Prosimy naszych czytelników, którym wysłaliśmy, skutkiem ich żądania, pismo nasze na kredyt, aby raczyli uiścić należność, bez przypominania się naszego listami i odezwaniami. Dłużników zesłorocznych także upominamy, aby ceniąc swoje zobowiązania prenumeratę opłacili. Nie narzucamy się nikomu, z pismem swoim nigdzie się nie wpraszamy ale nie będziemy mogli pokryć milczeniem niesumienności tych, których prośbie zadość uczyniliśmy.

Adres: Księgarnia i Redakcja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. **Na prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przysyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przysyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcji w monetcie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcja nie odpowiada.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biurow Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

Sztuka piękna i różne obozy. — Na wystawie paryżkiej komuna obok arystokracji. — Wystawa sztuki i starożytności. — Skarby rodzin magnackich. — Pamiątki chudopacholskie. — Moja osobliwość. — Mój nauczyciel-zegar. — Goście na wystawie. — Nowy lotr i jego przyjaciele. — Herszt uciekł ale sztab został.

Ci co wierzą tylko w pięść lub pieniądz lekceważą sobie sztukę piękną, a conajwięcej uważają ją za przyjemność taką jak likiery przy czarnej kawie lub pustą pogadankę, jeśli o czémś mądrzejszém mówić nie warto. Tymczasem sztuka piękna prawie tak jak miłosierdzie odnosi zwycięstwo tam, gdzie i dyplomacya i miecz są narzędziami kruchemi; zbliża ona społeczeństwa oddzielone od siebie murem chińskim, godzi ludzi wrogich obozów, skrajnych przekonań, nienawidzących się ze względów politycznych.

Chcąc poprzeć to twierdzenie nie mógłbym się powołać na warszawską „Wystawę sztuki i starożytności”, niedawno otwartą w Hotelu Europejskim — ponieważ ludźmi, którzy ją urządzili, kierowało uczucie miłości bliźniego i szacunku dla pamiątek, uprzedzenia zaś społeczne były im najzupełniej obce. To też naszą wystawę można podziwiać ale nie wydziwiać, jak wydziwiamy wystawę w tym samym rodzaju, zorganizowaną w Paryżu na korzyść Alzacy i Lotaryngii.

Protektorami wystawy paryżkiej są czerwoni republikanie i b. komuniści czystej wody, jak Rochefort, Luçay i inni ichmościowie; oni to rozesłali zaproszenie do bankierów, do arystokracji rodowej — i zostali wysłuchani. Najbogatsze zbiory i muzea stanęły otworem dla tych, którzy namawiają motłoch do rabunku. Do owych wrogich obozów przemówiło miłosierdzie i odrazu znalazło się porozumienie, ustępstwa, ufność obywatelska. Konserwatyści powierzyli anarchistom swoje klejnoty, obrazy, porcelany...; na każde inne wezwanie arystokracja odpowiedziała milczeniem lub szyderstwem, tym razem postąpiła jak szlachta, która na placu pojedynkowym uprzejmie wita przeciwnika. Oryginalny widok przedstawia wystawa paryżka — socjalista obok bankiera, komunard obok konserwatysty, czerwony republikanin obok stronnika korony królewskiej, duchowny obok ateusza.

U nas, jak już powiedziałem, podobnych krańców nikt nie dopatrzy; ani w życiu ani w sztuce nie mamy przekonań skaczących sobie do oczu, a chociaż są ludzie praktykujący zasady wrogie zdrowiu naszego społeczeństwa, to i między nimi nie znalazłoby się komunarda, który na wystawę przysłał najdroższą swoją pamiątkę — drzazgę z naftowej pochodni, która podłożyła ogień pod kościół, i czerep garnka rozbitego na głowie monarchisty.

Pomimo braku tak szacownych okazów, jak głównia i czerrep, wystawa nasza jest w całym słowa znaczeniu piękną, bogatą i wielce sympatyczną. Umieszczona w kilkunastu salonach robi na widzu głębokie wrażenie, na nas oddziałała pocieszająco; zwiedzaliśmy ją z uśmiechem, jeśli nie na twarzy to w sercu, a wyszliśmy z niej jakoś spokojniejsi, powiem nawet jakoś lepsi, bo ze zmniejszoną dozą czarnych myśli i wątplenia.

Czytając i słysząc ciągle o wyprzedawaniu pamiątek rodzinnych agentom zagranicznym, zdziwiliśmy się, że nadesłano tyle przedmiotów drogocennych dla starożytnika i dla czciciela przeszłości. Stare rodziny Krasińskich, Potockich, Zamojskich, Lubomirskich, Przezdzieckich i inne z szeregiem antenatów nie były dla nas na wystawie niespodzianką — one dały na widok publiczny tylko częśćkę swoich zbiorów pamiątkowych; taka siedziba wilanowska mogłaby zapełnić sama jedna wszystkie komnaty hotelowe. Pałaców równie zasobnych jak Wilanów w pamiątki historyczne trzeba wprawdzie szukać dłużej i dalej, w takim Łancucie, Podhorcach, Kurniku, ale nawet dwory skromniejsze są jeszcze bogate.

Na naszej wystawie trudno oderwać oczu od makat gobelinowych, pasów słuckich, od sukni różowej srebrem przetykaną, zrobioną na uroczystość koronacyjną Stanisława Augusta a tak świeżę, jakby wczoraj dopiero wyszła z pod igły; od owych buław hetmańskich, wyjętych ze skarbcza hr. Tomasza Zamojskiego, buzdycanów z których niejedną rozbił bramę warowną lub łeb pohańca, owych koszulek i hełmów ze śladami natarcia spisy lub tasaka, od owych rogów

myśliwskich z kości słoniowej, rzeźbionych jak tarcza w Iliadzie lub marcepan w Panu Tadeuszu, owych roztruchanów i dzbanów, którymi pito za zdrowie Bóg wie czyje, od owych zegarów, kanap, szpinetu, wazonów japońskich i koreckich, od karabel, ornatów, monstrancji, od obrazów mistrzów, pomiędzy którymi jest i Rafael, wreszcie od owęj kolekeji butelek węgryzna Fulkierowskiego, obrosłego pleśnią stuletnią i obstawionych kielichami starzej formy. Podziwiając z sercem radośnym artystyczne wykończenie i bogactwo ołtarzyka polowego Jana Sobieskiego, dziwiąc się doskonałemu wyglądowi mebli i materji, kantorków z zeszłego wieku, szukałem owych pamiątek maluczkich, jakimi prawie każda rodzina szlachecka niedawno jeszcze pochwalić się mogła; szukałem ich i znalazłem zaledwie kilkanaście nazwisk niegłośnych.

Jeżeli byśmy wystawę wzięli za barometr naszej zamożności archeologicznej, naszego przywiązania do przeszłości, naszego rozmilenia się w sztukach pięknych — toby rachunek wypadł niepocieszający: wszystko co jest w kilkunastu salonach należy do kilkudziesięciu osób znanych ogółowi ale społeczeństwa całego na wystawie nie widać. Z wystawy nie wyciągniemy żadnych wniosków co do obfitości naszych skarbów dziejowych; cieszymy się nią, odwiedzamy, oglądamy, rysujemy i opisujemy ale nie wmawiamy w nikogo, że poza wystawą już nie równie pięknego zobaczyć nie można, że pałace, dwory i oficyny wszystko co polskie na nią wysłały. Zbiór medali d-ra Rewolńskiego jest piękny ale kto z nim konkuruje; wyroby gdańskie reprezentowane są tylko przez dwie szafy, a gdzieś świeczniki, komody, oddrzwia... chociaż sama Warszawa posiada ich mnóstwo, nie mówiąc już o Waplewie Sierakowskich, w Poznaniu, będącym wielkim muzeum gdańskiej sztuki i bogactwa hanzeatyckiego.

Niema na wystawie i tysiącznej części tego, co się znajduje w posiadaniu rodów nieznanych, niema owych cennych drobiazgów, jak np. mój (nie chwalać się) kubek gliniany, z tańcem nimf i z datą szesnastego wieku, lub mojej ciotki zbiór tabakierek z czasów Księstwa Warszawskiego. Pamiątki, do których rodziny przywiązują się jak do do bóstwa domowego, najczęściej mają swoje legendy poetyczne, piękne, dobroduszne... lada skorupa jest rzadkością, lada ostroga zdobyła but hetmański, lada pierścień pochodzi z czasów Wandy, co nie chciała Niemca...

I ja spotkałem na wystawie zegarek gdański; na takim uczono mię w dzieciństwie poznawać godziny, w jego wnętrzościach rozpatrywałem się przez okienko... przemysłiwając, jakie kółko wyjąć bez stłuczenia szkiełka, aby zbadać dłaczego skazówka ciągle się posuwa. Ten pierwszy mój nauczyciel zginął w płomieniach; po nim zginęło tysiące marzeń, zachcianek, nadziei, usiłowań, prac zaczętych a nawet skończonych... nie zginął jednak dźwięk młotka uderzającego o tarczę zegarową, nie zginęło echo głosu matczynego, za którą powtarzałem godziny, odczytując na tarczy liczby rzymskie: pierwsza, druga... dziesiąta... dwunasta.

Podobnych wrażeń doświadczysz na wystawie zatrzymawszy się przy glinie, bronzie, spiżu, jedwabiu, a jakże dumnym opuszczasz ten skarbiec z różnych skrzyń wydobyty, jeżeli przekonasz się, że jesteś posiadaczem jakiego zabytku, któremu — podług twego przekonania — żaden z wystawowych nie dorównywa. Do tej dumy i ja miałem prawo, jako posiadacz dokumentu zagadkowego, pisanego po turecku a wydobytego ze skrytki w ścianie kościelnej; dokument ten pergaminowy warto było przypiąć do namiotu wielkiego wezyra, może to jaki firman sułtański, żądający wyrznięcia załogi... Tych może roi się po głowie tysiące, kiedy człowiek patrzy na rękopism ze Stambułu przywieziony nad Wisłę.

Na wystawę przyjechało kilku agentów zagranicznych, między nimi dwóch anglików. Agent — jak to u nas brzmi pospolicie; agentowi podaje się tylko jeden palec, ale ajenci ks. Wallii i lorda Crawforda to ludzie dystyngowani, prawie uczeni, ostemplowani stopniami magistra i doktora wszech nauk. To nie amatorzy, którzy plotą koszałki opalki, ani faktorzy, którzy dziś handlują kukurydzą, jutro futrami a pojutrze pomadą, ale specjaliści znający się doskonale na każdym przedmiocie. Chodzą oni po salonach wystawowych jak po własnym domu, odzywają się stanowczo, naturalnie, jakby pytali o godzinę.

Na wystawie, między gośćmi, wszystkie stany są reprezentowane; kobiety i mężczyźni tworzą grupy różnobarwne a ciekawość niewieścia nie zadawalnia się samymi koronkami i jedwabnymi tkaninami; i one wpatrują się w ciężkie, pordzewiałe zbroje, wyszukują pamiątek trwalszych niż ze złota snute pajęczyny. Matka, otoczona dziatwą, objaśnia półgłosem, aby nie przeskadzać sąsiadom, pochodzenie pancerzy, kto się w nie odziewał, kto dosiadał bachmata jak ten co się z głębi sali ku widzom, z rycerzem na grzbiecie, wysuwa. Pochwalić musimy właścicieli fabryk i przelóżonych warstatów za gorliwość z jaką ułatwili czeladzi swojej i uczniom obejrzenie wystawy — jedni rysują, inni dziwią się, są i tacy co tylko oczy bawia, ale każdy coś dobrego wyniesie w głowie lub sercu.

Młodzież, uczniowie i pensyonarki także krzątają się po salonach, wypatrując ożywionemi oczkami osobliwości, o których tylko z powieści Sienkiewicza lub opowiadania dziadka coś nie coś się dowiedziały. W grupie mundurkowej widzieliśmy siwiuteńkiego staruszka; kazał on się przyprowadzić na wystawę, aby jeszcze raz w życiu spojrzeć na przedmioty, co mu w duszę wrosły; wpatrywał się naprzód milczący, a po chwili rumieńce wyszły mu na pomarszczone policzki i zaczął tłumaczyć swoim wnuczętom, co to wszystko znaczy. Staruszek mówił niewyraźnie, w końcu zmęczony szeptał za ledwie, ale młodzież z szacunkiem go słuchała, a gdy umilkł i wyszedł, stała jeszcze chwil kilka w poważnym milczeniu.

Do wystawy wrócimy i nie opuścimy dnia jej zamknięcia, aby na końcu jak na początku podziękować za myśl, za pracę, za cel hr. Józefowi Krasieńskiemu i jego szanownym towarzyszom, którzy literalnie dnie i noce pracowali.

Są jeszcze ludzie, którzy nie wątpili o uczciwości społeczeństwa, pomimo codziennych zdarzających się nadużyć i rozbojów; oddać pod dozór zamku hotelowego pamiątki krociowej wartości a potem spać sobie spokojnie, to trzeba czuć pewny grunt pod nogami.

Przyjemniej by się chodziło po komnatach zapelnionych pomnikami świetnych czasów, gdyby w nich było cicho i bezлюдno; przyjemniej, gdybyśmy na każdym kroku nie spotykali licznych dozorców muzealnych. Ale niepodobna w takich jak nasze czasy żądać ślepego zaufania do każdego, kto na wystawę wstępuje; dla rzeźmieszków żniwo na niej obfite i łatwe, nie jeden przedmiot wyniesiony pod połą paltota, w dłoni lub na palcu dałby im fortunę pokaźną.

Dozór jest silny — przy każdym drzwiach stoją woźni baczni, czujni, patrzący na ręce gościa a zarazem uprzejmie odpowiadający na zapytania. Patrzą i w niejednym najporządniejszym człowieku domyślają się Władysława Kiersza, który schabił kolegów biurowych, okradł kogo tylko mógł, na nędzę skazał uczciwą żonę i uciekł.

I o nim jak o tym podobnych zbrodniarzach długo mówić nie będziemy — wstręt do takich opowiadań czuje nasze pióro; użylibyśmy go chętnie w takim tylko razie, gdybyśmy umieli wskazać gdzie się łotr ukrył, gdybyśmy pewni byli, że napisany przez nas wyrok na przegierz i kajdany dosięgnie przewiercę. Odrąciwszy Kiersza ze zgrozą, ubolewamy nad jego ofiarami, których popchnęła w zażyłe z nim stosunki łatwowierność albo małoletność umysłowa, nie znająca się na ludziach; ale niepodobna ubolewać nad tymi, którzy korzystali z pełnej misy oszusta.

W domu Kiersza bywały roje jego znajomych i przyjaciół, przyjmował ich ze zbytkiem, karmił i poił. — Powiedźcie panowie, czy osłaniałibyście milczeniem marnotrawstwo gospodarza, gdyby was nie fetował; przyznajcie się, że was przekupił pełną misą i butelką. Niejednego z was dziwiła hojność Kiersza, mileżał jednak bo jadł jego pieczeń.

Łotr uciekł ale banda jego stołowników została — to gotowy sztab dla nowego amfitryona; przejdą oni znowu do innego stołu obficie zastawionego, będą znowu jedli i pili udając, że się niczego nie domyślają. Więcej się boję takich tłumów rozlakomionych niż dziesięciu Kierszów, Rembertowskich, Krzeczkwowskich — ci ostatni to lokatorzy okratowanych więzień, pierwsi zaś to ludzie wolni... Baczność więc nie tylko nad tym, który uciekł ale i nad tymi co zostali; baczność, aby sztab Kiersza nie wynalazł sobie nowego króla.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

- Cóż się stało? — poprawił się — o niczem nie wiem.
 — Jako nie wiesz?... Wszak byłeś w Pałaczkach.
 Pan Józef się zachwiał.
 — No... byłem... i cóż ztąd?
 — Zapewne mówiliście...
 — Mówiło się to i owo... ale kto by tam na wszystko zwał! Sam nie umiałbym już powtórzyć...
 — Czy ci nie nie wspomnieli?...
 — Mówiliśmy przez kilka godzin, ale rozmowa taka to jak plewa, którą wiatr roznosi po polu.
 — Przecież to dla ciebie wypadek tak ważny...
 — Śmieję się z tego!... To jedno tylko fatalne, że mi się nie dali do końca wygadać myśląc, że przyjechałem z oświadczeniami o pannę Aurelię...
 — I niezawodnie uprzedzili cię rekużą...
 — Formalnej rekuży nie było...
 — Przestraszył ich ten wypadek... Łapali cię gdyś miał krocie... a dziś gdy to wszystko poszło z wiatrem...
 Anna zaczęła płakać.
 — Cóż to jest?
 — Tego powinienes się był spodziewać...
 — Ale ja pojechałem tam po to, aby im powiedzieć, że mam narzeczoną, że Helenę kocham i przy niej do śmierci pozostanę!
 — Pytanie, co teraz w Konopówce na to powiedzą.
 Pan Józef wstrząsł się z gniewu.
 — Cóżby tam znowu była za miłość, gdyby ją lada co zdmuchnąć mogło.
 — Utrata mienia nie jest rzeczą tak błahą.
 — Co za utrata?
 — Przecież w Pałaczkach mówili ci o tém.
 — O czém?
 — To ty nic nie wiesz?
 Anna szarpnęła brata za rękę i pociągnęła go za sobą do pokoju, w którym jak sztyldwach tam i na powrót chodził pan Major.
 Major nie powitał go wcale. Twarz jego rumiana była teraz sina z nadmiaru napływu krwi do głowy; siwe wąsy zjeżyły się jak sierść odyńca, wypukłe oczy wylazły zupełnie na wierzch jak u raka. Buchał dymem i prostował się co moment, jakby szedł na nieprzyjaciela.
 Matka nie spojrzała także na syna; na jej twarzy świeciły się łzy, patrzyła przed siebie jak nieprzytomna.
 Na środku stołu leżał rozpostarty arkusz gazety; dwa rogi miał naderwane, widać, że trzymały je ręce kurczem dotknięte. Cała gazeta była strasznie pomięta.
 Anna wskazała palcem na miejsce, gdzie był druk tłusty. P. Józef pochylił się nad stołem.
 Zaczął czytać. Wszystkich oczy zwróciły się na niego. Major zatrzymał się; oczy jego otworzyły się szerzej, wąsy zaruszały się, tylko ciemna peruka pozostała obojętną.
 Pan Józef zbladł nagle, a potem poczerwieniał.
 Major wskazał na niego palcem.
 — Patrzcie — zawołał — tak samo jak u mnie było! Zrazu zrobiło mi się zimno, a teraz pali mię jak rozpalonem żelazem. Wkrótce i on posinieje... Szelma niemiec!
 Nikt na to nie odpowiedział. Major ciągnął dalej:
 — Śmiejecie się ze mnie, gdy wam mówię, że wolę turka niżeli niemca! Niemiec zawsze mi cuchnie. Z turkiem stanę do boju, gdy jako nieprzyjaciel w drogę mi wejdzie. Niemiec kłania się i mizdrzy, a tymczasem ręką do kieszeni sięga! Dalibóg ja was i całej waszej Galilei nie rozumiem!
 Major miał teraz dobrą sposobność wyluszczyć swoje zapatrywania się polityczne, bo wszyscy milczeli z osłupienia

i boleści. Programat jednak polityczny malkontenta galicyjskiego doznał niemiłej przerwy.

Pan Józef uderzył pięścią w stół.

— Niech go piorun trzaśnie—krzyknął cały drżący—zrobił mię żebrakiem! Jak mi Bóg miły, nie daruję!

Głęboka cisza zaległa komnatę. Chmura dymu zaczęła się o wąsy Majora i zawisała w powietrzu. Sędziwa staruszka utkwiała oczy w synu, który stał z ręką do góry wzniesioną. Anna patrzyła z boku na tę groźną scenę.

Trwało to dosyć długo. Usta pana Józefa poruszały się kurczowo; dziwne myśli tłoczyły się do jego głowy; nawet mieszkańcy Pałaczkowsk przesunęli się przed nim: widział ich fizyognomie ironiczne, słyszał złowrogie słowa. Wyjaśniło mu się niejedno.

— I cóż zrobisz teraz?—zapytał w końcu Major.

— Nie wiem jeszcze — odparł p. Józef — maci mi się w głowie jak w gorąccze.

— Straszne nieszczęście! — jęknęła matka.

— Nie wierzyłem nigdy w takie zarobki — dodał Major.

— Ale cóż robić teraz? Na morały nie czas—zauważyła Anna z westchnieniem.

Znowu nastąpiła cisza. P. Józef oddychał głośno i ciężko, jak człowiek którego w nocy zmora dusi. W przyległym pokoju było cicho jak w grobie.

— Przedewszystki—ozwał się wreszcie p. Józef—trzeba zjechać do jutra. Jutro wyjaśni się więcej ta sprawa. Rano pojedę do Konopówki i poradzę się.

Anna posmutniała.

— Czy sądzisz, zapytał żywo pan Józef — że w Konopówce doznam takiego samego przyjęcia jak...

— Nie sądzę — przerwała szybko, ale ludzie przywiązują często zbyt wielką wagę... do majątku.

Ciemny rumieniec przebiegł po twarzy p. Józefa.

— Czyż ja byłem innym — zapytał żywo — gdy miałem krociec?

Nikt na to nie odpowiedział, tylko świerszcz, nieświadom katastrofy, odezwał się pod piecem.

XI.

W Konopówce nie spano także w tej chwili. Pokoje były oświetlone, odmykano i zamykano drzwi, jakiś ruch niezwykle panował wszędzie. Pan Jędrzej z antypką w ustach wychodził często na ganek i pilnie nasłuchiwał: wiatr szeleścił w konarach drzew, potok szumiał pod mostkiem, żaden głos ludzki nie ozwał się, żaden wózek nie zaturkotał. Pan Jędrzej wrócił do pokoju i przystąpił do szyby historycznej.

Szyba rozbita na dwoje była nieocenioną dla mieszkańców Konopówki; była ona czulszą od aparatu O. Palmieri, który objawia najmniejszy ruch we wnętrzu ziemi; dźwięczała na każdy szelest, jakiego ucho ludzkie nie dosłyszało; sygnalizowała różne wypadki gospodarskie, dziejące się w kredensie i kuchni, a nawet w odległej oficynie. Pan Jędrzej wiedział tym sposobem o każdej stłuczonej szklance, o kłótni kucharza z dziewczką i klucznicą, ekonomą z parobkami; słyszał nawet

w ciszy nocnej, gdy mu świerka w przyległym lesie ścięto, z drzenia powietrza wnioskował o deszczu i pogodzie.

Kiedy pan Józef do Konopówki jechał, szyba brzękiem zapowiadała jego przybycie już wtedy, gdy jeszcze był za górą. Dla tych nieocenionych przymiotów, pielęgnował ją pan Jędrzej starannie, ocierał z niej codziennie kurz i owady.

Dzisiaj błyszczała jasno, jakby zwierciadło weneckie; p. Jędrzej przykładł do niej co chwila ucho... ale szyba milczała.

P. Jędrzej odstąpił od okna i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Dzień dzisiejszy był dla niego dniem feralnym: dowiedział się o pojedynku, co w całym domu sprawiło wielką konsternację. Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, wysłał posłańca, pani Jędrzejowa zaczęła czytać modlitwę, a Helunia położyła się do łóżka. Aby sobie czas oczekiwania skrócić, posłał p. Jędrzej po gazety do proboszcza; na nieszczęście, proboszcz pojechał do chorego na drugą wieś i klucz zabrał z sobą. P. Jędrzej czekał i czekał, wypalił dziesięć fajek a proboszcza i gazety nie było.

Wreszcie nadjechał posłaniec i przywiózł niezłą wiadomość: widział pana Józefa i obiecał jego przyjazd; dodał jednak, że pan Józef pierwój do Pałaczkowsk pojechał, jak to na własne oczy widział. Ten dodatek sprawił gorsze wrażenie od

pojedynku. Wróżby pani Eufrozyny spełniły się.

Cóż bowiem ta wizyta w Pałaczkowskach miała znaczyć?

Obowiązkiem p. Józefa po takiej katastrofie było przyjechać pierwój do narzeczonej; dlaczegóż tego nie uczynił?

Już sam pojedynek nie dobrze wróżył. P. Karol widocznie miał zamiary co do panny Aurelii; p. Józef wszedł mu w drogę i ztąd przyszło do kłótni. Tak się przedstawiała katastrofa.

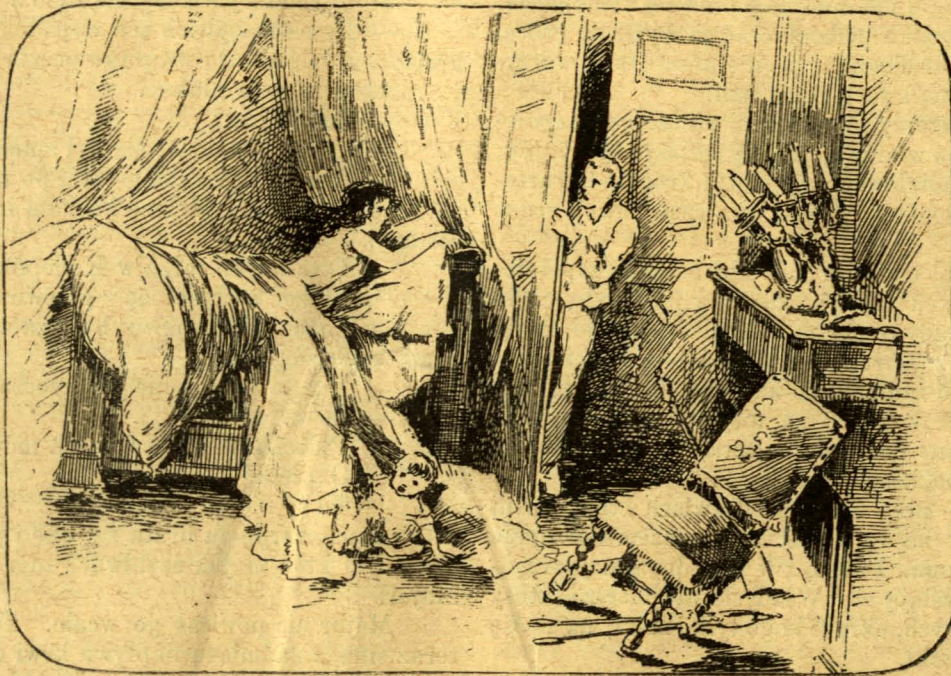
W pierwszym impecie nie pohamował się p. Jędrzej i całą sprawę wobec Heleny wytoczył; dla dziewczęcia był to cios tak silny, że jej sił zabrakło. Położyła się do łóżka.

Po niejakiem czasie zaświtała lepsza nadzieja: pan Józef obiecał przyjechać. Do Pałaczkowsk mógł skoczyć na chwilę w jakimś pilnym interesie; zapewne wyjaśni to, gdy przyjedzie do Konopówki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZYSIĘGA NA SZAROTKĘ.

W poezji górali tatrzańskich szarotka odgrywa rolę swatki i zarazem próby ogniwój, przez którą miłość górala przejść musi zanim pozyska wzajemność. Kwiat ten biały rośnie na wysokich skałach, gdzie już roślinność zamiera a więc dostanie się do niego jest zwykle trudne, połączone nieraz z niebezpieczeństwem. Dziś do każdój krawędzi nad przepaścią utworzone jest przejście, ale kiedy Tatry były znane tylko dzikim kozom, niedźwiedzim i opryszkom, znalezienie i zerwanie szarotki było dowodem męstwa i ognistej miłości. Zwykle dziewczęta



Po pierwszém wstrząśnieniu ziemi, w Nizzie.

wystawiały chłopców na taką próbę, a dla większej grozy ka-
zały odbyć wyprawę po kwiat w noc burzliwą, w której czart
po górach harcuje. Z wycięciem lasów, ogołoceniem skał, za-
ludnieniem dolin, uprawą połonin — szarotka przestała być
kwiatem nadzwyczajnym, już łatwo ją było dojrzeć, łatwo i do-
stać. Pomimo to i teraz dziewczyna najmiliej patrzy na tego
chłopca, który jej przyniesie szarotkę z najwyższego wirchu
i na nią się zaklnie.

Kwiatek wygląda jak gwiazdka, bo też jest gwiazdką
strąconą z nieba. Gwiazdka—opowiada poezya ludowa—przy-
świecała aniołom zbuntowanym i zepchniętym w otchłań pie-
kielną, za to strąconą została z niebiosów; ale, że przyświecała
złemu nie wiedząc co czyni, zlitował się nad nią Bóg i zatrzy-
mał ją na skale w postaci kwiatka, między niebem a ziemią,
tym sposobem uchronił ją od pokalania białej szaty w kale
ziemskim.

Rozmłowany w ojczystych widokach artysta w pięknym
obrazku tę poetyczną opowieść uplastycznił—chłopiec szarotkę
przyniósł, dziewczyna ją przyjęła i słucha, co jej rozkochany
chłopiec prawi. Ani wątpić, że szarotka ich wyswata.

PANI MARCINOWA.

EPIZOD Z DZIEJÓW SANITARNO-WARSZAWSKICH.

PRZEZ

Sylweryusza Kondratowicza.

(Dokończenie.)

Pewnego poranku, straganiarki z przerażeniem wysłucha-
ły ponownego nakazu usunięcia swoich nieruchomości. Wyzna-
czono na to trzy dni czasu, po upływie których nie powinno
być za „żelazną bramą” ani jednej budy.

Rozkaz ten sprawił piorunujące wrażenie. Z początku
kobiety osłupiały, powoli wszakże znaczenie rozkazu stawało
się dla nich jasnym.

— A cóż na to Marcinowa?—zapytała jedna z kobiet.

— A prawda, co Marcinowa?... — podchwyciły inne —
chodźmy do niej, niech nam radzi!

Procesya kobiet zatrzymała się przed straganem Marci-
nowej. Jedna z nich zagadnęła:

— No i cóż, moja pani Marcinowo... gadaliście, że nam
straganów nie ruszą, a tymczasem kazano do trzeciego dnia
chudobę naszą rozebrać.

— At!... nie gadałybyście... — odparła z niechęcią Mar-
cinowa, machnąwszy ręką.

— Jakto? a przecież rozkaz był wyraźny: „rozrucać
stragany i basta!”

— A ja wam mówię, że nie ruszą!

— E, gadacie jedno wkoło: „nie ruszą” „nie będą śmieli!”
A cóżto, nie wiecie, że naczelnik nie żartuje... Taki był nakaz.

Wiedziała o tém Marcinowa, mimo to jednak nie straciła
nadziei; w głowie jej powstał śmiały plan...

Dlatego i teraz wobec deputacyi nie dała się zbić z tropu
i odparła:

— I cóż tam wasz naczelnik!... Wielki mi naczelnik!...
Niech sobie gada co chce, a ja się nie ruszę...

— A jak wam bude porąbią?

— Nie będą śmieli!...—powtórzyła ponuro, lecz z mocnym
przekonaniem i wzięła się do obierania główek kapusty.

Kobiety spojrzwały na siebie, porozumiewając się wzro-
kiem i wskazując palcem na czoło... poczem powoli rozeszły
się mówiąc:

— Marcinowa chyba rozum straciła...

— Pewnikiem!... I nie dziwnego: starowina się zamartwiła.

Marcinowa jednak nie zwaryowała: powiedzieliśmy, że
w jej głowie powstał plan śmiały.

— I cóż, że gada naczelnik... Alboż to ponad nim niema
nikogo? Pójdę choćby i do komisarza a nawet i do samego

prezydenta, do nóg upadnę, będę błagać, prosić, aby mi życia
nie zabierali! Przecież i oni, choć wielcy panowie, ulitują się
nad niebogą... Cóż im to szkodzi, że mój straganik taki czy-
ściutki i ładny zostanie na placu, przecież miejsca nie wiele
zabiera, a i za to placę rzetelnie podatek... i więcej zapłacę.
Bogu dziękować, uciulało się tam kilka złotych... chowałam na
czarną godzinę... No, a czarniejszej chyba nie będzie!...

Tak rozumowała i postanowiła plan swój wykonać. Nie
zwlekając długo, zamknęła stragan na kłódkę i spiesznym
krokiem podażyła do domu, aby się ogarnąć.

Mieszkała przy ulicy Grzybowskiej w suterenie, którą
najmowała do spółki z dwiema praczkami. Przyszedłszy do
domu, ucieszyła się niezmiernie, nie zastawszy swoich współlo-
katek.

— Dobrze, że mi nikt nie będzie przeszkadzał!...—powie-
działa głośno — trzeba wziąć na wypadek trochę grosiwa...

To rzekłszy, zbliżyła się do łóżka i sięgnąwszy ręką do
siennika, wydołała ze środka owiniętą w słomę pończochę,
z której wyjęła kilka papierków i schowała je szybko do kie-
szeni, poczem pończochę położyła na swoim miejscu, zebra-
wszy uprzednio starannie żdźbła słomy, które upadły na ziemię.

Dokonawszy tej czynności, zaczęła swoje toaletę. Po
upływie kilkunastu minut była ustrojona w czarną wełnianą
suknię odświętną i czarny atlasowy kaptur, ubrany wypłowia-
łemi kokardami.

— Trzeba się przed urzędem uczeiwie pokazać, niech nie
myślą, że przyszła jakaś żebraczka — rzekła do siebie, wycho-
dząc na ulicę.

Spiesznym krokiem zdążyła do cyrkułu. Ożywiła ją
nadzieja, że wyprawa jej pożądaną odniesie skutek. Dlatego
dość śmiało odpowiedziała „dyżurnemu”, gdy zapytał ją po co
przybyła.

— Chciałam do pana komisarza...

— A po co?

— Z prośbą...

— To mi dajcie, ja odniosę.

— Kiedy ja nie mam na piśmie, ino chciałam tak prosić...

— Ot, będzie z każdą babą gadał pan komisarz!... Mów-
cie pociżście przyszlil!... — odezwał się surowo zniecierpliwiony
„dyżurny”.

Na szczęście dla Marcinowej, w tej chwili właśnie wszedł
do pokoju sam komisarz. Marcinowa widziała go dawniej
parę razy.

„Dyżurny” zerwał się i wyprostował jak struna.

Komisarz spojrzawszy na sędziwą kobietę, stojącą w po-
korniej postawie, zagadnął:

— Czego tu chcecie, kobieto?

— Przyszłam z pokorną prośbą do wielmożnego komi-
sarza.

— A to chodźcie do mego gabinetu — powiedział komi-
sarz i poszedł do dalszych pokoi.

Marcinowa postępowała tuż za nim, jakby obawiając się,
żeby kto ją nie zatrzymał po drodze. Minawszy parę pokoi,
komisarz wszedł do gabinetu.

Marcinowa, która dotąd szła śmiało, układając w myśli
swą prośbę, nagle przestępując próg gabinetu uczuła, że traci
odwagę i pamięć... Jakieś przygniatające uczucie ogarnęło ją
całą, chciała mówić lecz głosu zabrakło, jakiś tylko ochryply
szepet wydobywał się przez jej usta spieczone.

Wzruszenie stariej kobiety było widocznym; zauważył je
komisarz i zapytał:

— Co to wam? czy jakie nieszczęście?

— Oj nieszczęście, wielkie nieszczęście!... Zabierają mi
cały mój majątek, mój domek, moje szczęście!... — mówiła bez
związku.

— Kto wam zabiera i dlaczego? mówcie wyraźniej!...

Z trudnością udało się wyrozumieć Marcinową, która
w wyrazach bez związku, przerywanych łkaniem, opowiedziała
o co jej właściwie chodzi.

Komisarz, wzruszywszy ramionami, powiedział:

— Nie ja wam tu poradzić nie mogę... Kazano i po
wszystkiem; zresztą będziecie przecież mogli prowadzić swój
handel i dalej na stolikach, które magistrat urządzi.

— Wielmożny komisarzu, jakże ja będę mogła handlować na stoliku, na którym i setna część nie zmieści się tego, co mam w swojej budce...

— Ha, to trudno!... Ja wam na to już nie poradzę— powiedział stanowczo komisarz— jedno prawo dla wszystkich! Marcinowa padła mu do nóg.

— Mój złocisty, wielmożny panie... zlituj się nad starowiną... pozwól niech chociaż mój jeden straganik zostanie... On taki chudzieńki, czyściutki... Wszystkie deski w nim co drugi dzień sama szoruję, zmywam... To cacko prawdziwe i wiele miejsca nie zajmie!... Ulituj się, wielmożny panie, a ja do końca życia będę za ciebie prosić Boga!... — błagała z płaczem Marcinowa.

Komisarz niecierpliwiał się widocznie.

— Wstańcie, kobieto, i idźcie z Bogiem! Powiedziałem, że ani ja, ani nikt wam na to pomódz nie może.

Marcinowa podniosła się z ziemi powoli, obtarła z łez pomarszczone policzki i chwiejąc się na nogach wyszła na ulicę.

Doświadczała tego samego uczucia, jak w owym dniu, gdy odprowadziła na miejsce wiecznego spoczynku swego Marcina. Wówczas powracała do domu smutna, zgnębiona... tak samo jak dziś. Lecz wtedy miała jeszcze do czego wracać, był jój drogi Piotruś jedynak, piękny chłopiec, pieczęzony i lubiony przez wszystkich... gdy tymczasem dziś... sama jedna... ich już niema i chcą jój jeszcze zabrać te ostatnie kilka desek, które są żywem świadectwem jój minionego szczęścia...

— O ludzie bez litości!... — zawołała Marcinowa z jękiem — żebyście wiedzieli co mi zabrać chcecie!... I jeszcze żądacie, żebym ja sama... własnymi rękami!... O, niedoczekanie wasze!...

Zgnębiona, powróciła do swojej izdebki i przed wizerunkiem Matki Bożkiej Częstochowskiej przesiadła do późnej nocy, nieruchoma, szklanemi bez wyrazu oczyma wpatrzona w cudowny obrazek.

Zastały ją tak współlokatorki, które powróciły późno z zarobku.

Przez trzy dni, Marcinowa nie wychodziła z izby. Nie miała odwagi i siły: jój sterany wiekiem i pracą organizm odczuł zbyt mocno moralne wstrząśnienie. Tymczasem w ciągu tych trzech dni za „Żelazną bramą” panował istny sądny dzień: łoskot siekier i młotków, stuk upadających na bruk desek, układanie ich na stojące wozy, cichy płacz patrzących na tę rujnacją kobiet, nawoływania woźniców, przekleństwa koszykowych przekupek, którym spadające deski i odłamy drzewa rujnowały ich towar... wszystko to wytwarzało jakiś piekielny chaos.

Trzeciego dnia nad wieczorem, plac za „Żelazną bramą” zmienił się do niepoznania; miejsce ożywionego, gwarne targowiska zamieniło się w jakieś smutne pustkowie, pośród którego sterczała tylko jedna samotna budka, jakby żywe przypomnienie tego, co od wczoraj minęło bezpowrotnie.

— A ta czyja jeszcze buda tam stoi?... — zapytał nadzorca.

— Marcinowej!... — ozwało się kilka głosów.

— Rozwalić budę! jutro ma być tu czysto zupełnie.

Rozkaz spełniono niezwłocznie.

Dawne sąsiadki Marcinowej zebrały znajdujące się wewnątrz straganu warzywa i ułożywszy w koszu, umieściły na wozie, aby je oddać późniejszej właścicielce.

Deski ze straganu porozrzucane na placu w części zabrano również, w części rozkradziono.

Gdy już zupełny zmierzch zapadł, na pustym placu ukazała się jakaś zgarbiona postać.

Powoli zbliżała się ku zachodniej stronie dawnego targu, nagle zatrzymała się... załamała ręce i z jękiem upadła...

Nad ranem, gdy miejscowy stróż zamiatał pustkowie, poznał w zemdłonej czy uśpionej kobiecie Marcinową.

Przyprowadzona do przytomności, dała się bez oporu odprowadzić do domu.

Marcinowa nie umarła wszakże; tęsknota i żal po jój czyściutkim straganiku nie zabiły ją...

Można ją widzieć dziś jeszcze, jak o zmierzchu przychodzi na plac, gdzie są równe, gładkie stoliki, w miejsce dawnych straganów, i szuka, pytając wszystkich, czy nie widzieli deski,

na której jój jedynak Piotruś wyciął kozikiem Najświętszą Panią.

Nie prowadzi już żadnego handlu, wyszła na żebraczkę... Wprawdzie o jałmużnę sama nie prosi, lecz dawne jój sąsiadki z własnej woli nakarmią i napoją starowinę...

Pod balknem.

Nędza, jaką spotykamy codziennie, wyczekuje pod balknem pałacu na zmiłowanie ludzkie, na jałmużnę, na grosik lub okruch ze stołu ludzi nasyconych. Sieroty przytulone do pałacowej ściany, szpecąc ją swemi łachmanami jak błotnistą plamą, mogą się doczekać zamiast jałmużny rozkazu, aby natrętów usunąć z przed oczu wesołego towarzystwa na balkonie. Może w tém zbiedzoném ciele dziewczyny mieszka dusza szlachetna, może głos jój dźwięczałby uroczym na scenie, może... ale ludzie nie lubią się domyślać, sądzą z tego co widzą i nędzę każą wyganiać...

Co innego trubadur, który właśnie skończył serenadę i z młodzieńczym uśmiechem zadowolenia wsłuchuje się w echo ostatniej zwrotki;—tego nie odpędzą, temu z balkonu sypną kwiaty, oklaski i poproszą—zaśpiewaj jeszcze! Śpiewak piękny jak zorza, odziany w srebrem haftowaną szatę jest pewny swego tryumfu, pewny, że wzrokiem oczaruje, uśmiechem wyciągnie ku sobie serce z piersi najbardziej opancerzowanej silną wolą i obowiązkami. Nie omyli się — kwiaty sypną mu z balkonu a on wybierze z nich jeden i wieczorem powróci, aby podziękować nową pieśnią miłosną.

ODCZYTY

W MUZEUM ROLNICTWA I PRZEMYSŁU.

Ostatni odczyt z dziedziny elektryczności miał d-r Henryk Dobrzycki, wzięwszy za treść jego „Elektryczność zwierzęca”. Pierwsze objawy tej elektryczności, jak już wiemy, odkrył Galvani na żabie; Volta zaprzeczał istnieniu elektryczności zwierzęcej, twierdząc, że drgania martwej żaby są skutkiem elektryczności zewnętrznej, metalicznej; późniejsze atoli doświadczenia, mianowicie Bunsena, który utworzył stos elektryczny z samych mięśni żabich, pokonały tę opozycję. Wreszcie mamy istoty żyjące, wydające z siebie elektryczność, a mianowicie ryby zwane w ogólności „dretwikami”, z których najcelniejszą i najznajomszą: *Raja torpedo*, *Gymnotus electricus* i *Sylurus*.

Następnie przekonano się, że w nerwach i mięśniach zwierzęcych istnieją prądy elektryczne, a Nobili w żabach stwierdził nawet istnienie prądów stałych. Organizm tedy zwierzęcy jest jednym więcej źródłem elektryczności.

Tu prelegent na potwierdzenie słów swoich wykonał doświadczenia na nieżywym króliku, który to wyprawiał skoki, pod wpływem prądu galwanicznego, to teżal pod działaniem prądu indukcyjnego.

Elektryczność wywiera wpływ na organizm ludzki, działając na wszystkie nerwy, a więc na wszystkie zmysły, a mianowicie na nerwy czucia jako ból, na nerwy wzroku jako światło, na nerwy słuchu jako odgłos właściwy, na nerwy powonienia jako woń podobna do amoniaku, na nerwy smaku jako smak metaliczny. Dla wytłumaczenia bliżej sposobu działania elektryczności, prelegent objaśnił organizm ludzki, a mianowicie ustrój nerwów, i wskazał choroby wynikające bądź to z nadmiaru ruchliwości nerwów, lub też z ich zamarcia. Na niektóre z tych chorób, wpływ prądów elektrycznych okazał się zbawiennym.

Dawniej w medycynie stosowano elektryczność statyczną (butelka lejdejska), później dano pierwszeństwo galwanicznej i indukcyjnej, lubo pierwsza w niektórych wypadkach posiada wyższość niezaprzeczoną. Elektryczność galwaniczna zastępuje

też obecnie przy operacjach żelazo rozpalone (termokaustyka) a najwspanialszym jej zastosowaniem jest oświetlenie zapomocą światła elektrycznego wnętrza ciała ludzkiego, którego ostatnim wyrazem jest gastroskop Mikulicza, zapomocą którego zajrzeć można w ludzki żołądek.

Poza faktami niezaprzeczonemi, leży jeszcze obszerne pole przypuszczeń; prelegent zwrócił uwagę na analogią istniejącą między nerwami i mózgiem a wolą i elektrycznością. Hypnotyzm, zdaniem jego, bardzo przypomina działanie prądu elektrycznego, pod wpływem którego żelazo staje się magnezem.

* * *
Drugą seryą odczytów, na rzecz kasy imienia Mianowskiego, rozpoczął w ubiegłą sobotę prof. Ciemniowski zajmującym wykładem o meteorologii. Meteorologia jest córką klimatologii; podczas gdy ta ostatnia zajmuje się wynalezieniem cyfr oznaczających przeciętny stan roczny atmosfery w pewnej miejscowości, meteorologia usiłuje na podstawie danych naukowych przepowiadać zmiany atmosferyczne.

Zawiązki meteorologii datują się od bardzo dawna, a pierwsze ich ślady widnieją w przysłowiach ludowych, które zawierają w sobie częstokroć prognozyki bardzo trafne, lubo nie zawsze dające się objaśnić naukowo.

W XVII wieku widzimy pewne w tym kierunku usiłowania, które mają jednak raczej charakter klimatologiczny; dopiero wielka burza, która podczas wojny krymskiej (w r. 1854) tak dotkliwie nawiedziła floty sprzymierzonych, dała nowy, silny impuls nauce meteorologii. Pierwszym, który na to zjawisko zwrócił uwagę świata uczonego, był astronom Leverier.

Ważnym krokiem na tej drodze było wprowadzenie metody synoptycznej, polegającej na obserwowaniu stanu atmosfery w wielu punktach jednocześnie. Ztąd powstały coraz liczniejsze tak zwane stacje meteorologiczne, obserwujące w pewnych oznaczonych porach dnia: wysokość barometru, stan termometru, kierunek i szybkość wiatru, wilgotność powietrza, stan nieba i ilość opadów na jednostkę powierzchni ziemi.

Najznakomitszą stacją meteorologiczną jest stacja w Hamburgu, połączona telegrafami ze stu innymi stacyami. Odbierając codziennie około południa depeze ze wszystkich stron Europy, układa ona przepowiednie, sprawdzające się mniej więcej 80 na 100 razy, które oddają wielkie usługi zarówno higienie publicznej, jak rolnictwu i marynarce.

U nas usiłowania na tym polu datują się od niedawna, a skupia je w sobie „Biuro meteorologiczne warszawskie”, założone w gmachu Muzeum rolniczo-przemysłowego, staraniem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Prelegent, lubo pierwszy raz występujący na katedrze publicznej, wywiązał się ze swego zadania z zupełnym zadowoleniem publiczności, szkoda, że nie dość licznie zebranej na odczyt tak zajmujący i wypowiedziany na cel tak sympatyczny.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

Szereg prelekcji na rzecz instytucji Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, rozpoczął się od odczytu zatytułowanego „Okno i malarstwo”. Prelegent, p. Karol Zagórski, na początku zaznaczył, że w ocenie dzieł sztuki zarówno uprawione są głosy estetyka i fizyologa. Pierwszy bada, w jaki sposób i o ile artysta umiał wcielić swój ideał w formy zmysłowe; drugi, jakie własności fizyologiczne zużytkował przy utrwalaniu swoich pomysłów.

Malarz winien uwzględnić wrażenia wzrokowe widza stojącego przed jego obrazem, tak, aby mógł z łatwością odgadnąć przewodnią myśl obrazu.

Obraz rozciąga się na płaszczyźnie; aby na tej płaszczyźnie uwydatnić brylowatość ciała, malarz posługuje się *perspektywą liniową* i *cieniami*. Dla uwydatnienia zaś odległości, która sprawia, że ciała im odleglejsze, tém wydają nam się mniejszemi, mniej wyraźnemi i jakby zamglonemi, artysta używa tak zwaną *perspektywę powietrzną*.

Harmonię barw na obrazie stanowi takie ich zestawienie, iż wywołuje wrażenie estetyczne; przeciwnie, niezgodność barw wywołuje wrażenie przykre. Typ harmonijnej kombinacji stano wi połączenie trzech barw zasadniczych: żółtej, czerwonej

i niebieskiej. Jednostajność barw nuży oko, które każdą barwę odczuwa osobnemi włóknami; patrząc więc na barwy jednostajne, męczymy ciągle jedne włókna, podczas gdy inne pozostają w spoczynku.

Zakończył prelegent trafną i malowniczą charakterystyką barw zasadniczych. Wogóle pierwszy ten występ prelegenta na katedrze publicznej można zaliczyć do bardzo udatnych, zarówno pod względem treści jak formy.

„Trzy doby sceny naszej” taki był tytuł drugiego z kolei na rzecz Osad rolnych odczytu, który wypowiedział utalentowany artysta i autor dramatyczny p. Wincenty Rapacki. Owe trzy doby sceny warszawskiej, o których mowa w tytule, uosobił prelegent w trzech kierownikach teatrów warszawskich: w Kudliczu, Jasińskim i Chęcińskim. Doba Kudliczowa, to epoka pełnego klasycyzmu. Prelegent kładł nacisk na to, jakiego to trzeba było talentu, jakiego wewnętrznego zapału w artystach dramatycznych, aby martwe, według niego, postacie tragedji klasycznej ożywić i postawić na scenie tak, aby one zajęły albo nawet porwały widza. A jednak Kudlicz oraz jego rówieśnicy i uczniowie umieli temu zadaniu podołać, jak tego liczne mamy świadectwa. Bonawentura Kudlicz był dzielnym aktorem i kierownikiem teatru, a najlepszym tego dowodem jest żyjąca jeszcze w niektórych niedobitkach na scenie naszej tradycja jego kierunku. Dla komedji i dramatu, nie miał Kudlicz zmysłu zupełnie; to też komedye nawet Fredry, przeszły wtedy przez scenę warszawską prawie niepostrzeżone.

Następnemu kierownikowi sceny, Konstantemu Jasińskiemu, przyznał prelegent tylko niezmierną pracowitość, oraz talent organizatorski i sprężystość w zarządzie; za to odmówił mu zupełnie talentu zarówno jako aktorowi jak i dyrektorowi. Jasiński, zdaniem prelegenta, tłumił wszelką indywidualność w artystach, a na scenie protegował wyłącznie Scribego, ponad którego nic wyższego nie widział i nie uznawał.

Ci dwaj kierownicy posiłkowali się jeszcze szkołą dramatyczną, która wówczas istniała przy Teatrach warszawskich i której pożytki i potrzebę jeszcze i dzisiaj prelegent wysoko podnosił. Nie miał już tej pomocy Jan Chęciński, już nie dyrektor ale reżyser tylko. Człowiek to był zdolny i wykształcony ale poezja przeszkadzała reżyserowi, a reżyseria zabijała poetę. Nerwowy, żółciowy, fantastyczny, niekonsekwentny w postępowaniu, zazdrosny i lekkomyślny miał wielu niechętnych a powagi zjednać sobie nie umiał.

Prelegent zmuszony był odczyt swój wypowiedzieć w trzy kwadransy, co na całość oczywiście korzystnie wpłynąć nie mogło; mimo tego publiczność nie szczędziła oklasków sympatycznemu zawsze dla siebie artyście.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Ś. P.

Biskupi: ks. Józef Cybichowski, ks. Karol Pollner.

Kościół i wierni jego wyznawcy znowu postradali dwóch dostojników i czcigodnych kapłanów, którzy na to przywdziali w młodości suknie duchowne, aby ludziom w doczesnym życiu świecić przykładem miłości i odwagi a modłami zapewnić im spokój pozagrobowy. Ś. p. J. Cybichowski urodził się w r. 1828, święcenie kapłańskie przyjął w r. 1852, pracował na stanowisku profesora seminarjum w Poznaniu, na probostwie w Chodzieżu, wreszcie w kapitule gnieźnieńskiej był sufraganiem i regensem. Ale ponad wszystkie urzędy i zaszczyty dostojniejsze są czyny ks. Biskupa—co miał to oddał ubogim. Płacz rzewny wdarł się do grobu w podziemiach katedry Ś-go Wojciecha, w którym spoczął kapłan ukochany.

Ś. p. ks. Karol Pollner, sufragan dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, urodzony w r. 1825 w Radziejowskim, pod strzechą bogobojnych rodziców; od dziecka tęsknił do pracy na niwie apostołskiej a później nie dał się odwieść od zamiaru tym, którzy zwracali mu uwagę na wątłe jego zdrowie. „Wiara—to moja siła, to moje zdrowie”, odpowiedział młodzieniec i przywdział sukienkę kapłańską. Ta wiara dodawała mu siły przez

POD BALKONEM.

Obraz P. Thumanna.



Czeka na jałmużnę.

Antoni Piotrowski, znany ilustrator do pism naszych i zagranicznych, głównie angielskich, w czasie wojny serbsko-bułgarskiej, wystawił w Sukiennicach krakowskich ośm obrazów, których treść jest przypomnieniem bratobójczej walki. Publiczność dosyć się interesuje pieśnią przebrzmiałą, ale krytyka zarzuca artyście pospiech i zbyt wielką szkicowość. Obrazy te podobno miały zdobić pałac księcia Battenberga; uwiózł je artysta z Sofii i wykończył w Krakowie. Nie dziwimy się, że w takiej wędrówce zapal ostrygi a nowe awantury coraz ciekawsze nie pozwoliły zmartwychwstać temu, co czas pogrzebał. Batalie, jeżeli mają żyć i robić wrażenie—szkicuje się natychmiast, kiedy jeszcze dymy prochowe nie opadną, albo też malują się później—dbając o nie jak o dzieła sztuki.

MIECZ i DYPLMACYA. Regencya. Krąży pogłoska po Berlinie, we wszystkich sferach, że dziewięćdziesięcioletnia rocznica urodzin cesarza, na którą mają zjechać z całego państwa królowie i książęta niemieccy wasale, będzie ostatnim dniem rządów najjaśniejszego solenizanta; zastąpić go ma syn następcy tronu jako regent. Następcy tronu ma lat pięćdziesiąt sześć; stosunek jego do Bismarka jest tajemnicą, jak i sposób myślenia przyszłej cesarskiej pary. Pogłoska nabawiła kłopotu głównie tych, którzy swój patriotyzm ściśle stosują do nakazów z góry; przekonania dla nich to rzecz dodatkowa. Namysławiając się, czy dalej iść z kanclerzem, czy przeciw niemu, tymczasem zręcznie lawirują.

Zdradzeni zostali powstańcy bułgarscy — mówi „Nowoje Wremia” — przez rumunów, którzy przyrzekli im pomoc i osłonę. Spiskowców zręcznie wciągnięto w pułapkę; padli oni ofiarą swój słowiańskiej dobroduszości i bułgarskiego patriotyzmu, który nie mógł dłużej znieść rządu regencyi.

Zmowa, jak utrzymuje „Russkij Kuryer”, istnieje między państwami bałkańskimi, z wyjątkiem Czarnogórze, przeciwko Rosyi. Niemiec Milan, król serbski, rzuciłby się na nas — pisze Kuryer — gdybyśmy do Bułgarii wkroczyli; z drugiej strony wystąpiłby niemiec Karol, król rumuński; trzeci wróg, czekający na nas z wycelowaną bronią, to także niemiec Battenberg, z całą bandą swoich sojuszników. I rozpoczęłaby się bratobójcza walka, któraby wyszła tylko na korzyść niemieckiego żywiolu.

Wszystkie państwa, pisze korespondent petersburski do półurzędowej austriackiej „Politische Correspondenz”, zgadzają się na jedno — nie chcą wojny. W Petersburgu we wszystkich sferach przemaga usposobienie pokojowe i cierpliwość na wszelkie zaczepki i pokusy, chcące Rosyją uwikłać w awanturę wojenną.

Francya. Lesseps jest przedmiotem serdeczności ze strony dworu berlińskiego, budowa baraków na granicy niemieckiej zwolniła; mimo tych wszystkich pozorów pokojowych, armia francuzka dalej się zbroi, chociaż po cichu, powoli, jakby szło o wielką rewią a nie o wojnę.

Nową armią przepowiada Juliusz Simon, mąż uczony, senator francuzki; utworzyłby ją socjaliści francuzcy i niemieccy, przeciwko której trzeboby było wystąpić z morderczą walką, jak po oblężeniu Paryża. Na zacząć nowej armii wystarczą żywioly burzące porządek społeczny, resztki komunardów francuzkich i anarchistów niemieckich. Oba rządy — utrzymuje Simon — widzą to niebezpieczeństwo i dla zażegnania go będą zmuszone utrzymać zgodę sąsiedzka.

Na jakiej pajęczynie wisi jutro i jak wielkie jest pragnienie pokoju, dowodzi podnoszenie do znaczenia faktu dziejowego każdego uśmiechu Bismarka, jego dowcipnego słówka, jego apetytu z jakim jadł śniadanie albo przekąskę. Kanclerzowi już dawno tak nie smakowała szynka — więc będzie pokój!

Goście berlińscy. Król i królowa rumuńscy zapowiedzieli swój przyjazd na urodziny cesarskie. W Berlinie brak lokali dla pomieszczenia wszystkich oczekiwanych gości.

Budżet armii angielskiej na r. p. finansowy wymaga 18,393,000 funtów szter., więcej o 160,700 funtów niż w r. b.

Zdrada. Naczelnym rysownikiem arsenału artylerii fortecznej w Chatum, informacje poufne wydawał osobom postronnym, podobno dla Stanów Zjednoczonych. Rysownika złożono z urzędu; — tylko?

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Wieść o strasznej katastrofie, która nawiedziła brzegi Śródziemnego morza, obiegła Europę — trwogą i spłóczuciem napelniając umysły i serca. Trzęsienia ziemi, które dały się uczuć na całej przestrzeni między Mentoną a Marsylią, gruzami zasympując kwitnące i ludne miejscowości, uprzywilejowane przez turystów i rekonwalescentów — przedłużyły podziemne oscylacje swoje aż po Szwajcaryę, Korsykę i Włochy.

Wulkaniczne zjawiska w ścisłym zostające związku z trzęsieniami ziemi, tłumaczone były przez uczonych w rozmaity sposób. W XVIII wieku utrzymywano, iż były one wynikiem zapalenia się nagromadzonych pod górami pokładów węgla ziemnego i pirytu; współcześni zaś geologowie dowodzą, iż fenomena te są skutkiem wybuchów ognistego jądra ziemi, za którą to ostatnią hipotezą przemawia wzrastające ciepło w miarę głębszego badania skorupy zewnętrznej. Doświadczenia dokonane w tej mierze każą przypuszczać, iż poniżej 40-tu lub 50-ciu kilometrów głębokości, wszystkie substancje, skutkiem nadmiernie podniesionej temperatury, pozostają w stanie płynnym; ztąd to pochodzą owe wstrząśnienia udzielające się powierzchni ziemskiej, wybuchy wulkaniczne i większa część zjawisk geologicznych.

Gdy ważny przewrót jakiś odbywa się w tej olbrzymiej, ognistej cieczy, wypełniającej otchłań wewnętrzną organizmu przyrody — skorupa zewnętrzna, parta ulatniającymi się gazami, podnosi się i zapada w różnych miejscach. Dlatego to powszechnie wulkany uważane bywają za naturalne klapy bezpieczeństwa przyrody; gdy bowiem otwór zatkanym zostaje, a wszelka komunikacja wnętrza z atmosferą przerwana bywa — przyległe okolice zagrożone są trzęsieniami, które objawiają się horyzontalnym, prostopadłym lub wirującym ruchem, powtarzającym się kilkakrotnie w małych odstępach czasu. Wstrząśnieniom tym towarzyszy grzmot przeciągły lub krótki i przerywany, który jest niejako sygnałem zniszczenia i grozy. W 1783 roku o 10½ zrana usłyszano w Lizbonie straszliwy taki huk podziemny, a w kilka minut potem wspaniałe miasto było jednym stosem gruzów i dogorywających ofiar.

Wiele podobnych przykładów moglibyśmy przytoczyć, wracając się jednak do najświeższych wypadków, przytaczamy słowa naocznych widzów okropnej katastrofy z dnia 23 lutego b. r. w Nizy.

Leżałem w łóżku wpółseny jeszcze — pisze jeden z nich — gdy naraz uczulem gwałtowne wstrząśnienie, któremu towarzyszył grzmot podobny do podziemnego huku armat. Wszystkie szyby naraz zabrzęczały w oknach. Wstrząśnienia te ponawiające się kilkanaście razy z przeraźliwą szybkością, trwały blisko pół minuty, która wydała mi się wiekiem. Zaledwie ustały, zerwałem się na równe nogi i wpół ubrany, chwyciwszy córeczkę moję na ręce, wybiegłem na bulwar, gdzie wyległy tłumy wystraszonego ludu.

Widok, który nas otaczał, był okropny. Chorzy i suchotnicy, wyrwani z ciepłych łóżek, wpół odziani, drżeli od porannego chłodu, od którego nie zabezpieczały ich naprędce narzucone kołdry i piernaty. Wpółśród koczującego pod gołym niebem ludu przesuwali się, śpiewając hymny nabożne, procesy sierot, prowadzone przez ochroniarki lub braci zakonnych. Młodziutkie głosy, podniesione w niebo, wzywały Boga o miłosierdzie nad ziemią nawiedzoną ciężką klęską.

Promenada angielska przedstawiała widok cygańskiego obozowiska, wśród którego błyszczały rozpalone tu i owdzie ognie. Omnibusy stojące na drodze, kabiny okrętów, wynajęte po bajecznych cenach, służyły za schronienie dla cudzoziemców, których nie mogły pomieścić sklezione naprędce namioty. Wypadki śmierci są nieliczne, lecz rannych zebrano 30-tu; w tej liczbie przeważnie są kobiety, które pod wpływem paniki straciły zimną krew i zachowawczy instynkt. Domów zburzonych naliczono przeszło osmdziesiąt.

Inny korespondent, wysłany na miejsce katastrofy, dodaje następujące szczegóły:

Przybywszy nazajutrz po wypadku do Nizy, zastałem miasto, zwykle o tej porze oddane uciechom i karnawałowej we-